MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 48. WARSZAWA, 24 LISTOPADA 1935 R. CENA NUMERU 80 GR.

DZIEŃ CHWAŁY

DZIWNE, że w poszukiwaniu najlepszych przykładów życia publicznego sięga się często do wzorów obcych... Dziwne, bo gdzie jak gdzie, ale w Polsce właśnie, kraju, który wytworzył wcześniej od innych ustrój wciągający szerokie masy do współudziału w odpowiedzialności za losy państwa oraz był siedzibą narodu rycerskiego, w bezustannych wojnach zaprawiającego hart i odwagę swoich synów, nie brak przykładów najwyższego bohaterstwa. Czy już tak koniecznie musi się brać za wzór postępowanie samurajów, jeśli w dorobku własnej literatury posiada się testament Żółkiewskiego? Tylko—trzeba go znać. Koniecznie. W spisach obowiązujących lektury szkolnej nie widnieje on wprawdzie, musi się bowiem znaleźć miejsce na omawianie twórczości Leśmiana (Lessmana) i Kadena-Bandrowskiego, ale też szkoła dzisiejsza, owiana duchem „państwowo-twórczym“ szerzy raczej pacyfizm, aniżeli pożądanie sławy i kult heroizmu, na co się słusznie uskarżają sfery wojskowe, pragnące mieć w kadrach armji gatunek żołnierza moralnie możliwie jaknajwyższy.

Szkoła dzisiejsza *gros* swego wysiłku kładzie w propagandę polityczną, wtajemnicza w zawiłości codziennych, typowo partyjnych rozgrywek, nakłania do czytania prasy, oczywiście wiadomego kierunku. Jakgdyby obawiano się, ażeby kult czasów z przed ostatniej, sanacyjnej ery nie rozbudził czasami karygodnej miłości narodu...

Tak to już jest obecnie, że każdy chłopiec zna, zatwierdzone przez rozmaitego rodzaju instancje propagandowe, zasługi ministrów, kuratorów, niemal dyrektorów departamentów i starostów, mało jednak kto wie, że na cmentarzu „Orląt" leży dwunastoletni chłopiec, zmarły z ran odniesionych w walce o Lwów, odznaczony wszystkiemi orderami, jakiemi Polska rozporządza: krzyżem „*Virtuti Militari*" oraz czterokrotnym „Walecznych".

W szarych dniach listopadowych przenosimy się myślą do czasów tamtej bohaterskiej rozprawy. I ze wzruszeniem czytamy z książki, co to ją każdy znać i w chwilach słabości czytać powinien, Czesława Mączyńskiego „Bojów Lwowskich":

„Jakież tedy było one „wojsko polskie"?
Skoro weźmiemy ogół ludzi służących wojskowo i dla wojska w jego oddziałach pracujących, wtedy dowiemy się, że ilość roczników młodszych niżej lat 17 wynosiła prawie 1/3, około 1/5 ilość roczników starszych, połowa zaś przypadnie na roczniki poborowe. Przy tem uwzględnieniu, ilość młodzieży, służącej wojskowo do 20 roku życia, przekroczy nieznacznie połowę ogólnej liczby żołnierzy...

Dlaczego tylu młodych w szeregach się znalazło? Przyczyny są tu różne. Pierwsza—to zgłoszenie się masowe w szeregi całej młodzieży, uczącej się w szkołach średnich i studjującej w szkołach wyższych. Nie brakło również przedstawicieli ze szkół niższych, ludowych: stanęła tłumnie pod bronią młodzież rękodzielnicza i rzemieślnicza. Wszyscy oni wysoko narodowo uświadomieni, a przytem część może gwoli zażycia prawdziwych przygód żołnierskich, śpieszyli spełnić swój obowiązek narodowy. Wielu z wiedzą rodziców, inni bez ich wiedzy, inni wreszcie wbrew ich woli.

Na chwałę bohaterskich mieszkańców Lwowa należy podnieść, że najwięcej było pierwszych. Prym tu wiodły zaprawdę bohaterskie matki, które własnoręcznie uzupełniały ich ekwipunek żołnierski i słały w bój śmiertelny, troszcząc się później stale o uzupełnianie ich żywności, o osładzanie im twardego żywota.

Czyż nie godna przejść do historji owa „Matka Polka", która trzech nieletnich synów własnoręcznie w bój wyekwipowała, by nie splamili munduru, ni honoru żołnierza polskiego. Skoro zaś „szczęście żołnierskie" zmusiło ją żegnać na marach śmiertelnych pierworodnego swego, tłumiła widocznie ból swój, a pocieszającym ją rzuciła te przewspaniałe słowa: „Oddam i dalszym dwu — z rozkoszą, bylem miała tę pewność, że Lwów do Polski należeć będzie".

„Na chwałę bohaterskich mieszkańców Lwowa"... Słowa wielkie a proste, bo prawdą pozbawione patosu. „On i jego mieszkańcy, one „łyki lwowskie", uszlachceni od czasów nobilitacji Lwowa (w r. 1658) i mający prawo noszenia karabel mieszczanie lwowscy, zawsze gotowi byli poświęcić raczej wszystko — życie i całe mienie swoje— ale nie ulec i wrogowi nie poddać się".

Tyle już lat mija od owego dnia radosnego, gdy to podawano sobie z ust do ust dawno oczekiwaną nowinę: „Lwów wolny"! Wiadomość wy-

walczoną, zdobytą ostatniem, decydującem natarciem. Wniknijmy w nastrój szeregów:

„Przygotowania ukończono. Oddziały nie posiadały się z radości. Jedne z uciechy, że one właśnie przyszły z odsieczą Lwowowi, drugie, że ich krwawy trud trzytygodniowy nie poszedł na marne, inne zazdrościły tamtym szczęśliwszym, którzy odrazu mają ruszyć i z niecierpliwością oczekiwały chwili, kiedy na nich przyjdzie kolej...

„Bije szósta na ratuszu", umówiony znak nie daje się słyszeć. Doniosły głos z zegara dotarł w ciszy nocnej do wszystkich placówek. Gorętsi pytają z wyrzutem: „Czy odłożono?"

„Bije szósta u Bernardynów. Spokojnie, majestatycznie rozlega się ton dzwonu po spokojnym, uśpionym Lwowie, nie budząc zapewne nikogo".

Rozdarł ciszę nocną dźwięk jedenasty. Nie był to dźwięk dzwonu zegarowego. To przemówił Latawiec, jedną i drugą armatą swoją trzy razy w odstępach zegarowych".

Zegary lwowskie: ratuszowy i bernardyński od niepamiętnych czasów różniły się w pokazywanym i wydzwanianym czasie o pięć minut. Niezgodne jak codzień, zgodnie, acz osobno wybiły godzinę akcji.

A po dniu walki, 22-go listopada, Komenda Główna ogłaszała już zwycięski rozkaz:

„Wam mieszkańcy miasta Lwowa przypada historyczna zasługa obrony swego grodu.

Wam winna dziś cała Polska głęboką cześć, wdzięczność i podziękę za Wasze bohaterstwo i za bezprzykładne poświęcenia i trudy.

Okażcie do końca wielkość ducha".

Doniosłość oswobodzenia Lwowa mierzy się zazwyczaj ceną owego bohaterskiego miasta. Miara to ogromna. Mało jednak kto sobie zdaje sprawę z politycznych konsekwencyj tego faktu. Nie były nimi jedynie sprostowania opinji świata, fałszywie orjentowanej, nieraz — przykro to mówić — przez swoich... Wyrugowanie austrjackiej sukcesji w postaci niespodziewanej władzy „ukraińskiej", załamało psychicznie przewódców tego niedojrzałego ludu. Od dnia 22-go listopada ofensywa wojsk polskich posuwała się naprzód, zajmując całą Ziemię lwowską, Podole i Wołyń, czem przesądziła sprawę tworzenia, w tej czy innej formie, niezależnego państwa ukraińskiego. Od tej chwili też nikt już nie mógł władztwa polskiego na tych ziemiach podawać w wątpliwość.

Pierwsza to rocznica, której nie widzi brygadjer Czesław Mączeński. Przebywa dzisiaj już na wieki całe wśród swoich, zgodnie z życzeniem prostego a rycerskiego testamentu: „Po śmierci mojej pragnę spocząć wśród swoich podkomendnych i towarzyszów broni na cmentarzu Obrońców Lwowa..."

Wczytajmy się uważnie w treść słów następnych:

„Uważam się za dłużnika Narodu Polskiego, między innemi z powodu pobierania przez lat 10 swych studjów stypendjum; cały mój majątek, jakiego dorobiłem się uczciwą pracą, a jaki pozostawię w chwili mej śmierci, zapisuję na cele publiczne, dobru Narodu Polskiego po wieczne czasy służyć mające... Na rzecz utworzyć się mającej fundacji stypendjalnej dla uczniów szkół handlowych i przemysłowych (technicznych), lub uczniów terminatorów rzemieślniczych, pobierających naukę w szkołach, albo u majstrów lwowskich... Stałe pomnażanie ilości polskich kupców i rzemieślników, którzyby, fachowo i naukowo należycie przygotowani, przez swą rzetelną, usilną i uczciwą pracę pomnażali polskość Lwowa i Ziemi Czerwieńskiej... Zachęcenie potomków warstw, które stronią od tych ważnych dla bogactwa i siły Narodu zawodów, do imania się tej pracy chlubnej..."

Na codzień, na dzień zwykły, praca wytrwała, uparta, dokonywająca dzieło procesu dziejowego, w chwilach zaś, co to szczęściem są żołnierskiem, słowa rozkazu zwycięskiego: „Okażcie wielkość ducha!"

Żyjemy w czasach niedobrych, niebudujących. Czasy te żółcią swą zatruwają pogodę naszą, napełniają serce goryczą. Trzeba więc sięgnąć myślą do wspaniałej przeszłości, by zabić gorycz zatruwającą entuzjazm, którego nam trzeba zawsze i nieustannie, zwłaszcza, jeśli mamy największą z ambicyj — uczciwego spełnienia swego obowiązku.

B.

MASONERJA A ENCYKLIKI PAPIEŻY

(NAKAZY DLA WIERNYCH)

JUŻ W 23 LATA po tym momencie, w którym cztery loże wolnomularskie Londynu połączyły się w Wielką Lożę angielską, dając tem początek dzisiejszej masonerji, następuje pierwsze potępienie masonerji przez papieża Klemensa XII w encyklice *„In eminenti"* z dn. 28 kwietnia 1738 r. Potępienie jest odrazu mocne, wyraźne, bezwzględne, „mające moc wieczystą", obejmujące wszelkie „towarzystwa, zgromadzenia, zebrania i narady wolnomularskie", wiernym zabrania się pod klątwą należenia do masonerji i okazywania jej jakiejkolwiekbądź pomocy:

„Zabraniamy surowo w imię świętego posłuszeństwa wszystkim wiernym w Chrystusie i każdemu z nich, jakiegokolwiekbądź stanu, powołania, pozycji, zakonu, stanowiska, godności i znaczenia, osobom świeckim i księżom, zarówno świeckim, jak zakonnym, — których należy nawet specjalnie wyszczególnić, — pod jakimkolwiek pretekstem i dla jakiejkolwiek przyczyny mogliby się na to ważyć i zamierzali to uczynić, zakładać, propagować albo podtrzymywać wyżej wymienione związki wolnomularskie, przyjmować je u siebie, albo dawać im pomieszczenie gdzieindziej, zapisywać się do nich, brać udział w ich zebraniach, dostarczać im czegokolwiekbądź, okazywać im pomoc, radę lub życzliwość, otwarcie lub potajemnie, wprost albo ubocznie, samemu albo za pośrednictwem innej osoby, w jakikolwiekbądź sposób, jak również zachęcać innych, nakłaniać ich i namawiać do wejścia do tego rodzaju towarzystw, do brania udziału w ich zebranich, do udzielania im pomocy i popierania ich w czemkolwiekbądź, a to pod karą ekskomuniki na nieposłusznych z samej istoty faktu i bez osobnego postanowienia, z tem, że nikt nie może być z niej rozgrzeszonym przez nikogo innego, prócz Nas albo biskupów rzymskich wówczas istniejących, o ile nie chodziłoby o udzielenie rozgrzeszenia w godzinie śmierci"[1]).

[1]) Przytoczone cytaty z encyklik tłumaczę z francu-

Wobec tak mocno sformułowanego stanowiska tej pierwszej encykliki, poświęconej masonerji, następne encykliki, zajmujące się tą sprawą, powołują się na postanowienie papieża Klemensa XII, cytują je, przytaczają niekiedy dosłownie jego nakazy.

Późniejsze encykliki rozszerzają jednak w kilku ważnych punktach postanowienia tej pierwszej encykliki.

I tak, w 1821 r., a więc już w sto sześć lat po powstaniu Wielkiej Loży w Londynie, papież Pius VII w liście pasterskim *„Ecclesia a Jesu Christo"* zakazuje wiernym, znowu pod karą ekskomuniki, nietylko czytać masońskie pisma, ale nawet przechowywać je u siebie. Ponadto list pasterski papieża Piusa VII wyznacza katolikom w sprawie masonerji rolę nietylko bierną, ale i czynną, obowiązuje ich mianowicie, i znowu pod karą ekskomuniki, zawiadamiać Kurję Biskupią o członkach sekty i o ich przewinieniach.

W 4 lata później, w 1825 r. powtarza raz jeszcze wiernym nakaz informowania biskupów o masonach i ich winach papież Leon XII w encyklice *„Quo graviora"*. Encyklika ta rzuca potępienie nietylko na związki masońskie już istniejące, ale i na wszystkie, jakie zostaną założone w przyszłości, ponadto podaje ona orzeczenie, bardzo ważne, jako dyrektywa dla wszystkich katolików, którzy zaplątali się, niekiedy wbrew swej woli, do lóż albo stowarzyszeń masońskich, orzeka mianowicie, że przysięgi masońskie są zbrodnicze i nieważne.

Trzy powyższe encykliki, t. j. encyklika papieża Klemensa XII z 1738 r., Piusa VII z 1821 r. i Leona XII z 1825 r. obejmują całokształt obowiązków katolików w sprawie masonerji. A więc:

1) zakaz wchodzenia do związków masońskich dla wszystkich świeckich i duchownych, choćby nawet czynili to z najszlachetniejszych pobudek, i zakaz okazywania lożom lub związkom masońskim jakiejkolwiekbądź pomocy lub życzliwości;

2) zakaz czytania i przechowywania u siebie pism masońskich;

3) nakaz informowania o członkach masonerji i ich winach biskupów. Ten ostatni nakaz, jak to wynika z encykliki *„Quo graviora"*, anuluje wszelkie przysięgi masońskie, a zatem tembardziej zwykłe przyrzeczenie zachowania tajemnicy, dane przez katolików, którzy są członkami masonerji.

Specjalne obowiązki nakładają encykliki na duchowieństwo.

W cytowanej wyżej encyklice papieża Klemensa XII czytamy:

„Chcemy ponadto i nakazujemy, aby tak biskupi, jak i wyżsi prałaci i inni miejscowi księża, aby wszyscy, którzy mają czuwać nad sprawą herezji, zasięgali informacyj i występowali przeciw przestępującym zakazy, jakikolwiek będzie ich stan, stopień, stanowisko, zakon, godność i znaczenie, aby ich upominali i nakładali na nich zasłużone kary, jako na mocno podejrzanych o herezję; dajemy im pełną moc postępowania wobec przestępujących zakazy, stosowania wobec nich kar, wzywając nawet, jeśli zajdzie potrzeba, pomocy ramienia świeckiego".

Papież Pius IX w encyklice z 1865 roku pisze:

„Życzymy sobie usilnie, Czcigodni Bracia, abyście albo sami, albo przez waszych współpracowników zawiadamiali o nich (o związkach masońskich) wiernych, jako o klęsce, niosącej zgubę i abyście się starali wszelkiemi środkami, jakie są w waszej mocy, uchronić od niej waszą trzodę".

Papież Leon XIII zwraca się do duchownych w gorących słowach:

„Co do was, Czcigodni Bracia, prosimy was i zaklinamy, abyście złączyli wasze wysiłki z naszemi i użyli całej waszej gorliwości, by zniszczyć i unicestwić nieczystą zarazę trucizny, która krąży w żyłach społeczeństwa i zatruwa je całe. Pouczajcie lud i dajcie mu poznać wybiegi, stosowane przez tę sektę w celu nakłonienia ludzi i wciągnięcia ich w swoje szeregi, i przewrotność ich doktryn, i niegodziwość ich celów, i przypominajcie im, że wobec wyroków kilka razy wydanych przez naszych poprzedników, żaden katolik, o ile chce zostać godnym tego imienia i dbać jak należy o swe zbawienie, pod żadnym pozorem nie może łączyć się z sektą masonów".

Pośród 20 encyklik, zawierających potępienie masonerji, wydanych przez Papieża Piusa IX, należy zwrócić uwagę na encyklikę z dnia 25 marca 1865 roku. Powody wydania jej były następujące:

Istniały wątpliwości, czy potępienie masonerji przez papieży obowiązuje w tych państwach, w których rząd tego rodzaju związki toleruje. Papież Pius IX wypowiada się w tej sprawie bardzo stanowczo, wydając encyklikę w tym właśnie celu, „aby w kwestji tak ważnej nie pozostało żadnych wątpliwości, ani miejsca na żadne złudzenia".

„Jeżeli ktokolwiek sądzi" — głosi encyklika — „że dekrety apostolskie, rzucające klątwę na tajne związki, ich zwolenników i twórców, nie mają znaczenia w krajach, gdzie sekty te są tolerowane przez władze cywilne, z wszelką pewnością znajduje się w wielkim błędzie".

Encyklika zwraca dalej uwagę, że skoro biskupi rzymscy w osobie św. Piotra otrzymali od Chrystusa władzę i nakaz czuwania nad wiernymi całego świata, to autorytet, jaki mają ich nakazy, „nie może być uzależniony od aprobaty lub dezaprobaty władzy świeckiej".

Do władców świeckich papieże zwracali się kilkakrotnie o pomoc w zwalczaniu masonerji. Czyni to papież Leon XII w encyklice z 12 marca 1825 r., będącej w niektórych jej ustępach już nie głoszonym nakazem najwyższego zwierzchnika Kościoła, ale błaganiem, mającem w sobie niepokój matki, która wie, że dzieciom jej zagraża straszliwe niebezpieczeństwo i pragnie zakląć i uprosić tych, co nad dziećmi czuwają, aby zdwoili swoją czujność i nie dozwolili im iść ku zgubie.

„Z usilnem błaganiem wzywamy waszej pomocy, książęta katoliccy, nasi ukochani synowie w Chrystusie, do których żywimy miłość specjalną i prawdziwie ojcowską. Musicie powściągnąć działania tajnych związków, nietylko dlatego, aby bronić religji katolickiej, ale jeszcze dla bezpieczeństwa waszego i waszych poddanych. Masonerja jest w równym stopniu wrogiem Kościoła,

skiego, według tekstów, podanych w pracy Paul Benoit'a *„La Cité anichrétienne"*, t. II *„La Franc-Maçonnerie"*, Paris 1895.

jak państw. A taka jest perfidja tych sekciarzy pełnych hypokryzji, że wówczas, gdy zdają się najusilniej pracować nad powiększeniem waszej władzy, pracują najgorliwiej nad tem, by ją obalić".

W cytowanej już powyżej, głośnej i znanej encyklice z 20 kwietnia 1884 r., papież Leon XIII mówi, że ostatecznym celem masonerji jest całkowite zburzenie ustroju religijnego i społecznego, zrodzonego z instytucyj chrześcijańskich i zastąpienie go przez ustrój zorganizowany na podstawie swoich zasad, zapożyczonych z naturalizmu. „Dwa państwa" — powiada papież — „dzielą dziś pomiędzy siebie rodzaj ludzki, państwo Boże i państwo szatana. W państwie szatana przoduje dziś masonerja". „Masonerja" — powiada dalej encyklika — „osiągnęła w państwach współczesnych potęgę, która jest już prawie panowaniem".

Dla tych, co nie chcą dziś jeszcze widzieć masonerji i całej grozy jej wpływów, te ostatnie zdania encykliki zasługują na specjalne podkreślenie.

W encyklice powyższej, której obszerne ustępy poświęcone są zarówno przedstawieniu zasad, jak i organizacji masonerji, papież Leon XIII, zwracając uwagę na to, że „mamy do czynienia z nieprzyjacielem przebiegłym i używającym podstępów", błaga wiernych, „w imię ich wiecznego zbawienia", i nakazuje im „zobowiązać się święcie w swojem sumieniu", że od przepisów, ogłoszonych w tym przedmiocie przez Stolicę Apostolską nie odstąpią „a n i n a w ł o s".

Jak widzimy z powyższych cytat, zawierających ustępy najbardziej zasadnicze, ale nie obejmujących bynajmniej całości wypowiedzeń się najwyższych zwierzchników Kościoła, nakazy wydane przez Kościół w sprawie masonerji są i niedwuznaczne i niedopuszczające wątpliwości.

MARJA STECKA

DRUGI OBOWIĄZEK

Karolowi Tichemu, profesorowi Szkoły Sztuk Pięknych i mojemu

...gdyby nagle zbiegiem jakichś wypadków, skutkiem jakiegoś kongresu stanęła [Polska] cała i niepodległa, ale bez własnej siły żywotnej, natchnięta jedynie życiem obcem, europejskiem, ruszająca się mocą uczuć i wyobrażeń, wytworzonych w Europie. Łatwo pojąć, że w takiej Polsce ludzie najdzielniejsi, najwięcej wytężonego ducha, nie mogąc w żaden sposób swojej przeszłości związać z przyszłością, ujrzeliby się zupełnie zbici z tropu...

M i c k i e w i c z

I

CZY WCZORAJ; czy dzisiaj, czy jutro, wszystkie dni są, zdaje się, jednakowo ważne, to znaczy jednakowo ważna jest chyba każda chwila bytu. Bo wola nieskończona płynie bez przerwy, jak niewysychająca rzeka i dociera w każdej sekundzie wszędzie we wszechświecie materjalnym czy duchowym zawsze z jednakową mocą i niema racji przypuszczać, że zmienia się jej natężenie i że mogą być okresy jej silniejszego, albo słabszego działania, niby przypływy i odpływy na oceanie, albo podmuchy wiatru w dzień niespokojnej pogody i że mogą się zdarzać jakieś m i e j s c a, czy pod względem czasu, czy przestrzeni zaniedbywane przez nią i omijane, niby jakieś mniej ważne zakamarki.

Nieprzerwaną strugą płynie wola ta i przesącza się nieustannie w c i a ł o wszechświata, jak soki, co wstępują z gleby w ciało żyjącej rośliny. Tak więc doktryna chrześcijańska uczy, że sam fakt przybycia Chrystusa na ziemię jest to tylko uzewnętrznienie się w formie dostępnej dla oczu ludzkich pewnej prawdy, która trwa i działa niezmiennie, bez przerwy, działa z jednakowem natężeniem poprzez wszystkie wieki, z natężeniem nie mniejszem, niż wówczas natężenie bólu na Golgocie i że krew, którą widać było wówczas na belce krzyża, sączy się nieustannie poprzez wszystkie wieki, że sączyła się ona tak samo i dawniej, t. zn. i przed tym faktem jej uwidocznienia się i tak samo sączy się i po nim i że sączy się tak samo i dzisiaj i tak samo i w chwili obecnej i że dla tego, że się sączy, dla tego i słońce świeci, dlatego i rośliny wschodzą i kwitną, i ptaki szczebioczą, i jednem słowem cały mechanizm wszechbytu funkcjonuje właśnie dla tego tylko, że się ta krew sączy, tak jest mieszanka benzynowa w cylindrach pracującego motoru.

Wszakże pomimo tego, że wszystkie chwile bytu są prawdopodobnie jednakowo ważne, jednakowo święte, jednakowo nabrzmiałe, nastrzyknięte cudownością, niedoskonały rozum ludzki skłonny jest dopatrywać się, zarówno w życiu poszczególnego człowieka, jakoteż i całych narodów i tak samo całych kultur, chwil, które wśród innych chwil wydają mu się jako ważniejsze. Tak więc, choć każda sekunda człowieka jest święta, to jednak takie sekundy np., w których on umiera, albo przychodzi na świat, albo spełnia związek małżeński, albo czyni jakąś szlachetność, albo zbrodnię, wydają się nam jako ważniejsze. Podobnie też i w bycie całych narodów i kultur nauka historji dopatruje się chwil ważniejszych, i choć cała przeszłość jest przedmiotem jej studjów, to jednak niektóre epoki nazywa wielkiemi, a inne małemi.

Tak więc naprzykład ostatnie parę wieków przed Nar. Ch., kiedy to u Żydów ostatecznie się ustaliły rządy bezdusznych i doktrynerskich kapłanów, a u Greków zapanował t. zw. „epoka hellenistyczna", charakterystyczna tem, że zamiast dawnych arcydzieł, zaczęto czynić teraz nudne, szczegółowo wymęczone rzeźby i w której mniej lubowano się wielkiemi, marmurowemi posągami dawnych bogów, które widać zdaleka, już z morza, z pokładu okrętu, zawijającego do Aten, a więcej małemi wizerunkami leśnych nimf i faunów, wyrabianemi w owym czasie z różnokolorowej terrakoty w olbrzymich ilościach i umieszczanemi w modnych buduarach niewieścich wśród rozmaitych cacek i drobiazgów toaletowych, epoka, w której dawną, wielką filozofję grecką i tragedję za-

stąpiono pustą sofistyką i opowiadaniem nowinek[1]), otóż epoka ta dla niedoskonałego rozumu ludzkiego wydaje się małą i lichą, a następująca po niej epoka, w której rozpoczyna się działanie Chrystusa i jego ludzi, którzy tak z niczego, w kilku zaczęli montować i zmontowali... Europę, czyli cały gmach kultury europejskiej, wydaje się wielką i wspaniałą. W taki sam sposób wszędzie i zawsze, na wszystkich ziemiach i we wszystkich czasach w dziejach rodzaju ludzkiego można odróżniać chwile jakgdyby wielkie i ważne i chwile jakgdyby czcze i bezwartościowe.

I oto ośmielamy się sądzić, że do takich chwil ważniejszych w bycie Europy będzie zaliczony wiek obecny, czyli dwudziesty.

II

Ale teraz odrazu trzeba zapytać: dlaczego wypowiedzane jest to twierdzenie i na jakich podstawach i argumentach jest ono oparte?

Bo twierdzenie to nie wydaje się wiarygodne.

Boć to przecie tylko umysły szczególnie surowe i dusze grube, bolszewickie, takie, co nie mają czci dla przeszłości i swoich przodków, takie, co przemianowują ulice i place, albo i miasta całe, obdzierając je z ich starych nazw historycznych, by przezwać je od imienia swoich prowodyrów, takie tylko wyobrażają sobie, że są twórcami epoki najlepszej, jaka kiedykolwiek pod słońcem istniała i myślą z naiwnością, że przed nimi był świat mroczny i niegodziwy, a od nich rozpoczyna się świat doskonały, natomiast ci ludzie, co oceniają historję sprawiedliwie i oddają jej słusznie należną jej cześć i pietyzm, ci wymagania sobie stawiają duże i widzą dobrze, że stworzyć w Europie epokę wielką i wyjątkową, epokę, którąby się historji zaimponowało, historji, która już tyle wielkości widziała, jest rzeczą bardzo trudną i że to wręcz przerasta możliwości człowieka.

A z drugiej strony i rozejrzawszy się dookoła siebie po świecie dzisiejszym nietrudno stwierdzić przecież, że nie widać nic takiego, coby szczególnie miało napawać nas dumą i radością. Bo choć i są rozwinięte dzisiaj nauki materjalistyczne i technika bardzo silnie, tak silnie chyba, jak nigdy dotąd, to jednak umiejętności te nie dowodzą bynajmniej wielkości duchowej człowieka. Nie jest łatwo (zresztą nie jest to tutaj celem) w krótkich słowach wytłumaczyć, dlaczego tak się dzieje, że inne epoki, choć wielkie i wspaniałe, nie miały ani w drobnej części tych nauk i techniki, jakie są dzisiaj, ale łatwo jest rozumieć, że można być świetnym inżynierem, a mimo to lichym i martwym wewnętrznie człowiekiem. Ale szukajmy w innej dziedzinie: może więc stało się coś dzisiaj, może stało się coś poza tym światem techniki i nauki przyrodniczej w Europie, albo w jej amerykańskiej filji, co upoważnia nas do tego, żeby cieszyć się i żeby być dumnym z dwudziestego wieku? Może stało się więc coś takiego w dziedzinie głębszej myśli ludzkiej i może uczyniono jakieś wielkie odkrycie i dokonano jakiegoś prawdziwie wielkiego poznania, albo uzyskano jakąś nadzwyczajną świadomość, czy jakieś wiekopomne objawienie w dziedzinie religji czy filozofji?

Może więc stało się dzisiaj coś takiego, czy na jakiejś uczelni, czy może w murach jakiegoś klasztoru, czy też może za sprawą jakiegoś indywidualnego mędrca i myśliciela? Ale przejdźmy jeszcze do innej dziedziny i szukajmy dalej, może więc stało się coś takiego, coś, co jest najważniejsze w dziedzinie wielkich natchnień, w dziedzinie wielkiej sztuki, może więc stało się coś takiego, czy w plastyce, czy w muzyce, czy w poezji, czy w teatrze? Albo może to te próby dzisiejsze tworzenia nowych form społecznych, takie więc jak faszyzm albo hitleryzm, albo chociażby moskiewski komunizm, może to one właśnie dumę taką i radość w nas wzbudzają i każą nam mówić, że wiek dwudziesty, to wielka, wyjątkowa chwila w historji świata?

Albo nakoniec popatrzmy jeszcze w inną stronę i zwróćmy uwagę na jeszcze jeden fenomen, fenomen dwudziestego wieku przecież, bo fenomenu tego przedtem nie było, a mianowicie przyjrzyjmy się Polsce, t. zn. Polsce jako państwu i zapytajmy: czy to może więc Polska dzisiejsza tak jak już się zdarzało w historji, jest tą radością i dumą Europy dwudziestego wieku, — doskonałością, której poszukujemy?

I oto, jeśli wolno sądzić, ani w dziedzinie głębszej myśli, ani w dziedzinie sztuki Europa dzisiaj nie uczyniła nic takiego, za co by mogła pretendować do wielkości. Można mniemać, że ten bardzo silny, potworny, nowotworowy rozwój nauk przyrodniczych i techniki, znajduje się w ścisłym związku — funkcjonalnym, jak się to mówi (t. zn. jest jednocześnie i przyczyną i objawem)—z niedorozwojem duchowym dzisiejszej Europy. Zresztą, zdanie to daje się dziś słyszeć dość często. Dalej, tak samo nie jest prawdopodobne bynajmniej, by te nowoczesne próby w życiu zbiorowem, czyli ów faszyzm lub hitleryzm (nie mówiąc już o zbrodniczych eksperymentach bolszewickich) okazały się tak poważne, żeby aż pozwoliły wierzyć w wielkość dwudziestego wieku. A nakoniec i Polska dzisiejsza tak samo żadną miarą nie może chyba rościć pretensji do tego, że jest Europy oraz białej rasy dumą i radością.

A wobec tego trzeba zapytać jeszcze raz: jakiem prawem powiedziano tutaj, że wiek obecny jest to w historji Europy chwila ważniejsza, chwila wyjątkowa?

III

Odpowiedź na to i związane z nią objaśnienia czynią niniejszy artykuł dość niezwykłym. Odpowiedź ta brzmi następująco: Europa dzisiejsza jest wielka nie przez to, co się stało, ale przez to, co się stanie.

Jednem słowem w poprzedniem rozmyślaniu utrzymywaliśmy, że wszystko, co jest uczynione dzisiaj, nietylko nie daje Europie tytułu wielkości, ale nawet odwrotnie, świadczy o wybitnym niedorozwoju duchowym nowoczesnego człowieka, a teraz twierdzimy, że Europa zaraz stanie się wielką. To znaczy, mówimy o rzeczach najważniejszych chyba, jakie tylko wogóle są, bo o losach Europy, białej rasy, ludzkości, o zbliżaniu się odrodzenia, oczyszczenia, nieomal samego zbawienia świata, a jednocześnie nie opieramy tego na żadnych argumentach ani nawet w najmniejszym stopniu.

---

[1]) Poniższemi słowami Dzieje Apostolskie (Rozdz. XVII, 21) bardzo dobrze malują stan ówczesnej kultury greckiej: „A wszyscy Ateńczycy i cudzoziemscy goście niczem inszem się nie bawili, tylko powiadaniem, albo słuchaniem nowin“.

Owszem, nietylko to, bo jeśli już powiedzieliśmy, że obecnie znajdujemy się w okresie wybitnego niedorozwoju duchowego, to tem samem zaprzeczamy nawet istnieniu tych argumentów, istnieniu poszlak nadchodzącej wielkości. Ale wszystko jedno, jeśliby nawet i znalazły się jakieś tam poszlaki, to zaraz można oświadczyć tu, że są one tak minimalne, że żadną miarą wystarczyć nie mogą dla uzasadnienia tej takiej olbrzymiej, takiej nadzwyczajnej, takiej triumfalnej prawdy i wobec tego lepiej zlekceważyć je i przyznać się odrazu, że dla uzasadnienia takiej prawdy stanowczo argumentów niema.

A wobec tego to, co mówimy, wygląda na prorokowanie. Owszem, wygląda to na prorokowanie w pełnem znaczeniu tego słowa, bo jest to mówienie o przyszłości w szczególny sposób, nie mając żadnych argumentów, któreby wskazywały jej zbliżanie się, nie mając żadnego rozumowego prawa wstępu do niej, żadnego wykuszu od niej ku nam sterczącego, na któryby, powiedzmy, można było zarzucić linkę myśli swojej i wspiąć się po niej. To też bezwzględnie to, co czynimy, wygląda na prorokowanie i czynią tak tylko ci, co prorokują, to znaczy ci, co jakimś wzrokiem prują przyszłość i wyjmują z niej jej zawartość, niby dymiące trzewia.

Dlaczego uczyniliśmy tak?

Bo to jest koniecznością sumienia. Właśnie dlatego, że niema żadnych argumentów, na którychby można było oprzeć twierdzenie, że zbliża się doskonałość, właśnie dlatego, że jest przerażający brak argumentów, przemawiających za tem, właśnie dlatego koniecznością sumienia staje się wiara, że oto doskonałość się zbliża. Innemi słowy: właśnie dlatego, że jesteśmy u kresu rozpaczy, na dnie upadku, w najcięższej niedoli, właśnie dlatego trzeba wierzyć, wiara jest koniecznością sumienia, że czasy zaraz się zmienią, że czasy muszą się zaraz zmienić i przyjdzie doskonałość. Teraz tutaj, w samym środku tego rozmyślania, koniecznie musi być umieszczone objaśnienie, tyczące się pewnego, szczególnego gatunku rzeczy, które dzieją się w sposób specjalny, nadzwyczajny, uderzająco charakterystyczny, atoli niema tu miejsca, by dostatecznie szczegółowo i wyczerpująco opisać ten nadzwyczajny sposób ich stawania się. Każda rzecz, jaka jest, jest, staje się, dzieje się, rozpoczyna swój byt, swoje istnienie nie w dowolny sposób — a przyjąć dowolność w powstawaniu rzeczy jest to zadać rozumowi najstraszniejszą ranę, bo jest to oderwać przyczynę od skutku, jest to rozkruszyć całą architekturę kosmosu, porwać wszystkie jego zasady i wiązania i z miejsca zaprzeczyć samemu sobie i przekreślić wszelkie rozumowania — tak więc, stanowczo, każda rzecz, jaka jest, jest, staje się, dzieje się, rodzi się, pojawia się, rozpoczyna swój byt, swoje istnienie nie w sposób dowolny, lecz w sposób ściśle dla niej właściwy, ściśle dla niej swoisty — i oto tak samo jak chlorek sodu jest, staje się, dzieje się... przez połączenie jednego atomu chloru z atomem sodu, a nie jest, nie staje się, nie dzieje się... inaczej, a jednokomórkowiec jest, staje się, dzieje się... przez podział, zaś inaczej powstać, pojawić się nie może, a wyższe istoty żyjące są, stają się, dzieją się... przez rodzenie się z żywota matki, zaś w inny sposób nie są w możności ujrzeć świata, a dalej taka chociażby rzecz, jaką jest naprzykład oto pisanie, tak samo jest, staje się, dzieje się tylko w pewien właściwy, swoisty dla niej sposób, bo przez odbywanie się pewnych ruchów ręki, trzymającej pióro, tak samo oto i są pewne osobliwe rzeczy we wszechświecie, o których właśnie myślimy, a które są, stają się, dzieją się... przez osiągnięcie stanu ich braku, stanu ich nieobecności do ostatecznych granic, t. zn. stawanie się, pojawiawianie się ich podobne jest do pojawiania się np. powietrza w naczyniu hermetycznie zamkniętem, z którego się powietrze wypompowuje, ale które jest zaopatrzone w taki wentyl, co się automatycznie otwiera i znowu wpuszcza do środka powietrze zzewnątrz, ilekroć powietrze z naczynia zostanie wypompowane całkowicie.

Tak więc oto są rzeczy we wszechświecie, które dzieją się po osiągnięciu w ostatecznych granicach stanu ich braku — a więc tylko po najciemniejszej godzinie nocy następuje powrót światła na ziemię, tylko po ostatecznem rozpadnięciu się ciała organicznego może się ono stać budulcem nowego, tylko po całkowitem oderwaniu się od ukończonego (albo porzuconego) dzieła sztuki, twórca może rozpocząć nowe, tylko po najgłębszej rozpaczy i zwątpieniu, tylko po tem, gdy już porzuciwszy wszystko, człowiek od siebie ucieka, jak w nocy ucieka obudzony pożarem przerażony mieszkaniec z palącego się domu, tylko po tem może się zjawić w obolałej duszy człowieka... to, o czem wszyscy wiedzą. I oto tak samo w historji narodów i kultur, dopiero po ostatecznem zepsuciu i upadku zjawia się prawdziwa wielkość i doskonałość. Nawet największy grzesznik, po spełnieniu grzechu, pragnie być czystym, piłka rzucona o ścianę po dotknięciu się muru wraca, a po epokach, w których zamiast bogów lepi się cacka i lalki terrakotowe — koniecznie zjawia się doskonałość. Bo wymaga tego nasze sumienie i jest ono w prawie wymagać tego i nikt nie powinien wątpić o tem i myśleć, że doskonałość ta nie zastosuje się do jego wymagań, bo choć doskonałość ta jest nieskończoną potęgą i władzą, to jednak w tym wypadku jest posłusznym sługą człowieka i przybywa jak lokaj na jego zawołanie.

IV

Kto argumentami wojuje — od argumentów ginie, a niektóre prawdy, a zwłaszcza najważniejsze, nie mogą być i nie powinny być argumentowane. Tak więc też i nie może być argumentowana i dyskutowana prawda, że dzisiaj zbliża się w Europie wielka epoka, wielka doskonałość i wierzyć w to jest i obowiązkiem człowieka i koniecznością dla niego i dlatego nie są bardzo ważne te wszystkie, wielomówne wywody i argumenty, przytoczone w niniejszym artykule, bo są to tylko jakgdyby ilustracje i objaśnienia pomocnicze, a sama wiara w zbliżanie się doskonałości nie jest podana tu w formie dopuszczającej dyskutowanie, ale raczej w formie przymusowej, poniekąd w formie rozkazu. I niema przesady, jeśli powiemy, że każdy człowiek ma prawo istnieć dzisiaj pod tym warunkiem tylko, jeśli wierzy, że już zaraz, lada dzień, lada chwila przyjdzie ta doskonałość. A kto nie wierzy w konieczność tej najgruntowniejszej, jaka tylko bywa w historji, zmiany i poprawy, która ma się oto stać teraz w Europie, ten nie

ma prawa istnieć i jest szkodliwym balastem dla wierzącego świata. Można nawet powiedzieć, że taki jest złym i niezbożnym człowiekiem. Bo że żyjemy, t. zn., że znieśliśmy i znieśliśmy jak dotąd nawet nie źle (choć narzeka się na kryzys) bluźnierczy chaos dzisiejszej Europy, to pochodzi to tylko stąd, że jesteśmy w silnym stopniu oportunistami. Ale oportunizm ten pod tym warunkiem tylko dałoby się może (i też niebardzo) wytłumaczyć, jeśli jest wiara, że wkrótce czasy się zmienią i skończy się ta bluźniercza epoka. Myśl tę pewnie niektórzy łatwiej zrozumieją na przykładzie Polski, bo wielu Polaków odczuwa wstyd za to, co się w ich kraju dzisiaj dzieje i czują się w kłopocie z tego powodu, że żyją, żyją, a że nie usunęli tego nieznośnego stanu, w jakim kraj ich się znalazł, a jedyną możliwością ich istnienia jest wiara, że stan ten nie potrwa długo. Polak czuje dzisiaj, że jest ciągle jeszcze i w mało co mniejszym stopniu, niż za czasów niewoli, zawieszony w swych funkcjach narodowego bytu i że słowa Mickiewicza, umieszczone przez nas we wstępie tego artykułu, są bezwątpienia słowami wieszcza i są przerażająco prawdziwe i przerażająco prorocze.

Polak czuje dzisiaj, że tkwi w niedającem się znieść i obelżywem prowizorjum i jedynie szczera, żywa wiara, że jest to stan tylko chwilowy, krótkotrwały, umożliwia mu przetrwanie, a bez tej wiary koniecznie musi nastąpić zdeklasowanie go w jego godności, zmiażdżenie, zmasakrowanie. Bardzo dotkliwem obostrzeniem w samopoczuciu Polaka obecnie jest fakt, że nie można już dzisiaj winy zwalać na siły zewnętrzne, czyli na zaborców, a dodatkowo jeszcze gąbką z octem i żółcią jest świadomość, że w walce o niepodległość zostało przelane tyle, tyle krwi ojców i dziadów. To też widać przecież dobrze, że wierzyć w zbliżającą się wielką zmianę każdy musi. Stan dzisiejszy jest nie do zniesienia, ale krótką chwileczkę można nawet węgiel rozżarzony na dłoni utrzymać.

V

Powyższe myśli w skróceniu wyglądają tak: wiek dwudziesty dlatego jest (będzie, musi być) wielką epoką Europy, że wielki, ostateczny, maksymalny jest upadek dzisiejszy, upadek nie mniejszy, jak i w owym czasie, gdy lepiono figurynki z terrakoty—i wobec tego nic więcej, żadne półśrodki, żadne półleki, a tylko najprawdziwsza doskonałość zdolna jest spowodować dzisiaj poprawę, — a pojawienie się tej doskonałości znamionuje wielką epokę, — zaś przyjście jej dzisiaj do nas stało się bezwzględną koniecznością i wymaganiem naszego sumienia — poprostu nie chcemy i nie możemy już dłużej czekać. Jeśli więc ktoś mówi, że poprawa nie nastąpi i że ciągle i nadal będzie panować w Europie taka, albo i jeszcze bardziej niegodziwa bezideowość, albo że Polska nie ocknie się z obecnego marazmu, jeśli więc zdarzy się, że ktoś powie takie słowa, to należy mu nie pozwolić mówić.

Bo obowiązkiem jest dzisiaj tak Polaka, jak i europejczyka wogóle wierzyć w przybywanie wielkiej chwili i doskonałości, jakkolwiek trudnym jest obowiązkiem, jest obowiązkiem, jest bezwzględnym obowiązkiem. Obowiązek ten jest jednym z najważniejszych jakie tylko są. Nie jest to wprawdzie pierwszy, najważniejszy obowiązek, bo tym jest odmawianie pacierza, bo to pacierz łączy człowieka, spotyka go z tą właśnie siłą nieskończoną, o której już napisaliśmy poprzednio, że płynie jak rzeka i że nie zna przerw, ani epok i że nie jest podobna do przypływów morskich, ani do podmuchów niespokojnego wiatru, ani też nie jest taka jak płoche, pierzchliwe, — pierzchliwe niby kuleczki rtęci, — natchnienia ludzkiego serca i że odwrotnie zawsze, w każdym czasie, poprzez wszystkie wieki działa, pracuje tak samo, niezmiennie, nieustannie, z jednakowem natężeniem, z jednakową wytrwałością i że nie ogląda się na to, czy wielka jest w danej chwili kultura na ziemi i wielka epoka, czy są to zgliszcza tylko i że nigdy nie odwraca się od człowieka — to też pierwszym obowiązkiem człowieka wogóle, człowieka jako takiego, obowiązkiem na wieki wieków, niezależnie od epok, jest odmawianie pacierza, ale drugim obowiązkiem, drugim po pacierzu, jest wierzyć dzisiaj, że ten obecny nieznośny chaos bluźnierczy i upadek będzie przez tę właśnie siłę (z pomocą ludzką naturalnie) w najbliższym czasie odmieniony.

LEON MACIAŃSKI

NORWIDJANA III

LISTÓW C. NORWIDA

GARŚĆ DRUGA

Podał STANISŁAW PIGOŃ

(Ciąg dalszy)

16. DO SEWERYNA GAŁĘZOWSKIEGO

10 stycz. 1876 r.

Osobnym jest darem łatwość nakreślenia właściwego listu; daru tego nigdy nie miałem. Proszę, jak są, słowa moje przyjąć. Treść jest następującej osnowy:

Ukończyłem obraz, który aby widzieć, raczą przychodzić rue de Chaillot 49, dans la cour de la ditte maison. Ktokolwiek raczy dwoma słowy uprzedzić o dniu i godzinie, staram się go ściśle oczekiwać. Wystarcza na karcie wizytowej rzucić dwa wyrazy we wilję dnia wybranego dowolnie.

Niektóre osoby (jako obecnie czynię) uprzedzam osobnem pisaniem z przyczyny następnej:

Nikogo nie proszę o kupno; obraz ma

podobno iść do Holandji, podanym był do ocenienia, oszacowany jest wedle bieżących cen na tysiąc czterdzieści fr. (może być nieco więcej ocenionym w następstwie).

Zważywszy, iż (jakkolwiek nie zupełnie bezużytecznie) wypadło mnie przez lat wiele kołatać się w emigranckiem polskiem kole, a więcej niż bez środków, bo w czasach i warunkach najzupełniej tragicznych i w których właśnie że zwykłem był dotrwać, — zważywszy w następstwie, iż znalazło się parę osób, którym skutkiem tego mogę być dłużnym jakie paręset franków, — uwiadamiam przeto po szczególe te osoby, aby (jeżeli *motu prioprio* podoba się im płótno moje nabyć) miały zarazem mojego uiszczenia się z należności sposobność paradoksalną.

Zostaję z głębokiem poważaniem i uczuciem prawdziwej serdeczności.

Cyprjan Norwid.

Uwaga wydawcy. Autograf listu w tymże zbiorze co i list poprzedni.

17. [DO ZARZĄDU TOWARZYSTWA HISTORYCZNO-LITERACKIEGO]

[Około 10 stycznia 1880 r.]

Wiele osób objawia mniemanie, iż należy się, aby W. Cyprjan Norwid podniósł głos na pogrzebie ś. p. Bronisława Zaleskiego. Ku temu należy się, aby mający mówić uwiadomionym był na 2 lub 3 dni naprzód i aby objawione było chcenie sprawujących obchód pogrzebowy. Te warunki znanymi są w ciałach, politycznego i publicznego życia świadomych.

De la part de Monsieur Norwid (:de:), rue du Chevaleret 119, Paris.

1880, styczeń.

Uwaga wydawcy: Autograf w archiwum domowem Muzeum XX Czartoryskich w Krakowie. Notatka, napisana niewiele przed pogrzebem Br. Zaleskiego (zm. w Mentonie, 2 stycznia, pochowany na cmentarzu w Montmorency dn. 12 stycznia), przesłana była zapewne do Zarządu Tow. Hist.-Liter., którego ks. Wład. Czartoryski był prezesem, a które oczywiście organizowało pogrzeb najczynniejszego swego członka i pracownika.

18. DO KSIĘCIA WŁ. CZARTORYSKIEGO

[Paryż, styczeń 1880 r.]

Jaśnie Oświeconemu Księciu Czartoryskiemu,

Jaśnie Wielmożnej Generałowej Zamoyskiej,

MEMORJAŁ.

Bywają rzeczy nieusprawiedliwione, z tej przyczyny, iż niczego nie brakuje, ażeby stawały się rzeczywistością, a wszystko ku temu będąc, dopomina się o ich byt i oskarża... Do takowych należy, co następuje:

*

Ś. p. Bronisław Zaleski był jednym z wyłącznię znamienitych artystów—nie przez bujność talentu, ale przez dwie zalety drogocenne i stanowcze w sztuce, to jest: przez sumienność wykonania i przez zupełność dzieła. Pozostawił on Polsce to, czego podobno że żadna belletrystyka innych narodów nie posiada, czyli całe, zupełne, dzieło Rhuisdala... Podróże osóbne w celu tym przedsiębrał był.

Jest krzyczącą koniecznością, ażeby, czyto w gmachu Bibljoteki Jagiellońskiej, czy w szanownym gmachu Sukiennic (nie wiem!) była sala osobna imienia Bronisława Zaleskiego, zawierająca całego Ruisdala i inne aquaforty. Na drzwiach tej sali powinien być monogram, jakiego używał ś. p. sztukmistrz na swych pracach; nad drzwiami biust Zaleskiego, który istnieje; wystarcza kazać go odlać,— obok drzwi kathalog dzieł. Godzi się pamiętać, iż aquaforta nie dziś jest gałęzią sztuki polskiej, mieliśmy biegłych i znamienitych.

U-calenie takie sali imienia Zaleskiego jest koniecznością; — to być powinno dlatego, iż to jest. Do roboty tej może być zawezwanym biegły doskonale w tym przedmiocie Wielmożny Antoni Zaleski z Florencji.

Byłoby mi bardzo łatwo wylegitymować nieco prawa, iż podnoszę tę kwestję; — mógłbym albowiem doszukać się w papierach moich listów ś. p. Bronisława, który wielokrotnie mię do pomocy zawzywał w razach niebezpiecznych, na blachach spotykanych pod igłą rytowniczą. Ważniejszą atoli pobudką jest to, co w korespondencji mojej, acz treści innej, napisałem był, a co brzmi:

Ocena—czy jest sztuką? czy umiejętnością?—nie wiem!—to pewna jednakże, iż ocena jest tak niezmiernie ważną sprawą w życiu ludów, iż gdyby jaki naród tą tylko jedną rzecz posunął do wszechstronnego udoskonalenia, już byłby bezpiecznym — i pozostawałoby mu tylko bezpieczeństwo zyskane utrzymywać.

Cyprjan Norwid.

1880, Paryż.

Uwaga wydawcy: Autograf memorjału, wraz z notatką poprzednią, w archiwum domowem XX Czartoryskich w Krakowie. Memorjał napisany niewątpliwie wnet po pogrzebie Br. Zaleskiego, a więc w pierwszych miesiącach 1880 r. — Br. Zaleski jako rytownik dał się poznać albumem *La vie des steppes Kirghises...* Paris, Vasseur, 1865 (24 akwaforty i tekst). Ogłosił też akwaforty z Ruisdaela (zob. uwagę przy liście nr. 10); reszta blach, o których tu mowa, nie doczekała się reprodukcji, a projekt Norwida — wykonania. Kraszewski cenił jego prace wysoko: „Jestto nasz jedyny i najpierwszy aquafortista"—pisał— w całem znaczeniu tego wyrazu" (*Rachunki z r. 1866*, Poznań 1867, s. 289).

19. DO JÓZEFA RUSTEYKI

[Paryż, 15 marca 1883 r.]

Do JW-o Rustejki i przez Jego pośrednictwo...:

Wielmożny i Kochany!

Za czasu, gdy ś. p. Bronisław żył, zrobiłem z nim razem krok korzystny o otrzymanie dla Sióstr narzędzi dobrych i całych, jako to: szczotek, mioteł etc. Dziś, przy myciu całego domu jest toż samo, czyli że myją paznokciami rąk słabych, bo szczeci w szczotkach niema.

Egipcjanie tak robili z żydami, iż im usuwali ułatwienia pracy, do której ich zaprzęgli. Widoczna z tego, że co innego jest praca, a co innego prześladowanie, i że jest jednym z najświętszych względem Sióstr obowiązków, ażeby miały ucywilizowane i odpowiednie pracy narzędzia. Inaczej — cała myśl chrześcijańska z tych robót znika i zaczyna się jakieś fatalne indyjskie umartwienie!

Nie wchodzę, czyj to obowiązek czuwać nad tem, ale byłbym wprost do J-o X-ej Mości Wł. Czartoryskiego tęż treść napisał, którą właśnie że w tymże celu Ci przesełam.

Z rzeczywistem i głębokiem poważaniem

1883 Cyprjan Kamil Norwid

Uwaga wydawcy: Autograf w archiwum domowem XX Czartoryskich w Krakowie. — J. Rusteyko był podskarbim w Tow. Histor.-Liter. w Paryżu i domownikiem ks. Wład. Czartoryskiego. Do księcia też wstawia się tu Norwid przez jego pośrednictwo o pomoc dla Domu Sióstr św. Kazimierza, którego ubóstwo sam widział jako mieszkaniec przytułku. Wcześniejszy list do niego (z r. 1870) zob. w *Silva Rerum* 1927, s. 186.

20. [DO J. I. KRASZEWSKIEGO?]

1

P. S. Kronikarze (którzy jeszcze nie są dobrze odczytani!) z mądrością im właściwą położyli światło na monumentalnie głównych rzeczach. Ale ci, co onych że czytają, nie są wystarczająco biegli.

Historja Koła jest historją całego lackiego historycznego węzła!

Koło trojańskie — to jest frygijskie — to jest dackie — to jest słowiańskie... oto i wszystko!

To koło pełne przeszło do taczek — dlaczego? Bo taczki są komunikacją na odległości elementarne i niżej niż gminne. Są toczeniem się, taczaniem (taczki), ale nie są jechaniem, ku czemu już trzeba drogi i komunikacyj społecznych. Dalej, tradycjonalnie przeszło to koło i do zabawek, tak jak n. p. starożytni (w Aleksandrji) znali siłę pary, ale nie dla przebiegania dróg, lecz do zabawek dziecinnych.

Odwrotnie stało się z trojańskiem i frygijskiem pełnem kołem przed-piastowem, iż przeszło najprzód do taczek na małe odległości i nieuprawne ścieżki, jak było z początku, a potem do zabawek. Stąd wyraz „fryga", kręcenie się pełnego koła około osi jego. Jest to koło przedpiastowe: trojańskie, frygijskie, dackie, słowiańskie.

Bryka jest także frygijską (co i Lelewel wiedział, ale on nie tłumaczył skąd?). Bryka jest burka, — odzienie z twardej skóry, na pół jako chata służące, które się na dwukolnym wozie stosownie do wiatru tam i sam obracało i stanowiło krytą brykę na dwóch kołach. Także brało się ją na ramiona i na jednem ramieniu, stosownie do północnego lub wschodniego wiatru utwierdziło. I to była burka, bo burka to bryka.

Wyraz Baltyk, morze Baltyckie, jest bełt, jest błoto, czyli laguna. Takich lagun systemat aż pod Ostrołękę podchodził był, gdzie też do dziś zbiera się bursztyn. Wyraz najwięcej ważny to jest ten, który cytuje Tacyt (patrz w Tacycie o Germanach), a którego oprócz mnie tu nie wytłumaczono, coby był, — jest wyrazem słowiańskim, i jeden i drugi cytowany przez Tacyta, — o czem sporo należałoby jednak napisać, z powodu że filologowie i archeologowie obecni są nieświadomi wielu warunków czytania archaizmów, — i dlatego oba wyrazy przez Tacyta cytowane nie są (oprócz mnie) przez nikogo wyłożone.

C. Norwid

2

P. S. Jeden wyraz.

...nie czytanie wyrazów, a czytanie treści musi stać się czytaniem niepełnem, czyli podległem ustrojowi jednej epoki, czyli wulgarniej mówiąc, czytanie, jakiem my czytamy dziś, wcale nie takie było za Karola Wielkiego (szczegóły są za mnogie, aby tu je skreślać, ale i to wystarczy, że np. czytało się zawsze głośno, etc, etc. etc.). Jakże więc (u licha!!) nie pomyślono o tem, że czytanie dzisiejsze kronik koniecznie jest błędne. Jużcić inaczej być nie może.

N. p. Co dowodzi, że Piast jest na tym pasie Europy wynalazcą koła (jak je wyżej tłomaczę)? Jużcić formacja języka powiada i uręcza, że kołodziej nie znaczy: rzemieślnik — wcale! Cóż za znajomość języka polskiego!? Eheu!... Ggyby kazno-dziej był rzemieślnikiem, to byłby kazacz, tak jak jest słuchacz, — albo kazarz, tak jak jest: kucharz, rymarz, tokarz, nawet pisarz, bo nie wynalazca pisma, który zwałby się pismo-dziej. Tak jest i dobro-dziej (a tylko dla odwrotności owemu: złodziej, przez negację).

Niestety!... Język polski, mało znanym będąc, czyni, że wyrazy są źle i coraz gorzej cytowane, a stąd zaćmienie kronik. Kołodziej znaczy: koła, i co się jego tycze, autor, greckie [[1])]. Kolarz jest robotnik wozów, tak, jak kotlarz — blach.

Cyprjan Kamil Norwid.

Dytmar kronikarz z wyrazu jednego robi nazwisko ludu: Ukrywolchi: Ten wyraz znaczy Ukrywalcy, czyli ci, co się przed nawracaniem z pogaństwa ukrywali, tak jak maruderów zwali żołnierze starzy: uciekinierami.

Czytanie jest dziś złe i dlatego historja mrokiem okryta.

C. N.

Objaśnienie wydawcy: Dwa te *postscripta* zachowały się w Bibljotece Jagiel., w dziale „Autografy", na dwóch arkuszach papieru listowego, różnych formatem i kolorem; oba bez daty i numerów, oba bez adresów, ale drugi z nich ma na czele zanotowane inicjały Kraszewskiego: J. I. K. Łączność pomiędzy niemi uzasadnia się tylko treścią: w obu jest mowa o kole piastowskiem, a odsyłacz w przypisku drugim „jak je wyżej tłomaczę" zdaje się odnosić do wywodów pierwszego; oba zatem należały bodajże do tego samego listu i wysłane były do tej samej osoby, zapewne do Kraszewskiego. (Może pisząc *Stara baśń*, wyd. 1876, interesował się on podobnemi kwestjami antykwarycznemi?).

Szczegół z Dytmara jest bałamutny. Kronikarz opowiada [ks. II, r. 37], że bp. merseburski Bozo ułożył dla użytku wiernych Kyrie elejson w mowie słowiańskiej i według tego uczył ich śpiewać. Ale lud szydersko przekręcał wyraz na *ukrivolsa* „quod nostra lingua dicitur: aeleri stat in fructetum" t. zn. (jak tłumaczy Z. Komarnicki, 1861) „w krzu stoi olsza". Dytmar zatem nie podaje tego za „nazwisko ludu". Zgodnie z Dytmarem omawia ten szczegół Maciejowski. *Pam. o dziejach... Słowian*, 1839, I 165.

[1]) W autografie słowo nieczytelne; może ἀριστος?

NA WIDOWNI

„Białogłowskie krzywdy" i „staropolska wiochna". — „Wiadomości literackie" rozmiłowane w polszczyźnie. — Koniec mody na antypatrjotyzm. — Co o tem sądzić.

W „WIADOMOŚCIACH LITERACKICH" (nr. 46) p. Józef Wittlin pisał niedawno sprawozdanie z „Łańcucha" p. Morawskiej — „nowoczesnej sztuki", jak określają utwór ten nadsyłane przez T. K. K. T. wzmianki reklamowe. Recenzja, jak to recenzja, ale, czytając ją, natrafiam nagle na zdanie, zamaszyste jak odrzucenie wylotu kontusza: „...wprowadzenie... służącej Petroneli, jako mścicielki białogłowskich krzywd, uznać musimy za błąd". Nic nie przesadzam: b i a ł o g ł o w s k i c h. Dosłownie.

Zastanawiam się nad tradycjonalizmem „Wiadomości", nad konkretnemi możliwościami składających się nań elementów, i wzrokiem wyobraźni widzę postaci starszych wiekiem „kupcowych", z peruczkami na głowach, gęstemi, ciemnemi, migocącemi od naszytych na nie, różnokolorowych dżetów... Jakże mówić o b i a ł o ś c i tych głów? Wszak są one — prawdę rzekłszy — tylko łyse.

Ale p. Wittlin najwyraźniej — jak widać — postanowił być tradycjonalistą... sarmackim. Toć nie tak dawno przecież w tychże „Wiadomościach literackich", z takim zapałem zachwycał się „Panem Damazym", że mimowoli wstydziliśmy się naszego niedostatecznego entuzjazmu przy ocenianiu uroków tej ziemiańskiej, znakomitej komedji. „Zmęczeni nadmiarem współczesnego bełkotu" — pisał — „z jaką rozkoszą słuchamy czystej z i o ł o w e j polszczyzny Blizińskiego". Nieomal przypomniało nam się święto Matki Boskiej Z i o ł o w e j, tak uroczyście, jak wiadomo, obchodzone od wieków w polskich chatach i dworach. Zaś o kilkadziesiąt wierszy dalej, w tejże recenzji: „Złotowłosą gąską, Heleną, córką p. Damazego, staropolską wiochną, uradowała nas p. Żeliska". Owa „wiochna staropolska" jest poprostu czarowna! Tak napewno musiał odzywać się „p. Tadeusz" (ten mickiewiczowski!) do złotowłosej Zosi w chwilach rozrzewnienia: „Ty staropolska wiochno, ty! ja tobie co powiem"...

— — — — — — — — — — — —

P. Wittlin nie jest jedynym przykładem tego rozsmakowania się w polskości, choć jest może najbardziej stylowy, najcharakterystyczniejszy. Toż i p. Antoni Słonimski rad uderza dziś w ton patrjotyczny, czego przykładem choćby ostatni wiersz na rocznicę śmierci Stefana Żeromskiego, z parokrotnie powtarzającym się wyrazem: Ojczyzna. Już nie trzeba nawet wspominać o p. Tuwimie, który oddawna, jeszcze przed kilkoma laty, przysiadł sobie pod lipą czarnoleską... Takie, widać, nastały teraz czasy i warto zastanowić się nad przyczynami i znaczeniem tej ewolucji...

Przed laty dziesięciu i więcej, bezpośrednio po skończeniu wojny światowej, modne były w krajach europejskich: pacyfizm, potępianie tradycyj rodzimych, internacjonalizm. „*Ghetto*", zajęte importem zagranicznych idej, witało nowości te jako zapowiedź całkowitej zmiany oblicza świata, zupełnego odrzucenia dotychczasowych świętości. Postanowiło być punktualne: p. Wittlin publikował „Wojnę, pokój i duszę poety", p. Tuwim zachęcał: „Rżnij karabinem w bruk ulicy"... Nie rozumiejąc Europy i jej psychiki, nie zdołali się zorjentować, jak dalece nastroje te były czemś powierzchownem, — i naturalnem, jako odruch przemęczonego pokolenia, co przez lat cztery w imię Ojczyzny najbardziej krwawą — bez szemrania — potrafiło składać z siebie ofiarę. Był to jakgdyby objaw złego humoru, okazanego matce przez synów, chwilowo rozdrażnionych, ale gotowych zawsze, jeśliby tylko zaszła potrzeba, bez wahania poświęcić życie własne w jej obronie. Jakże zabawne były przypuszczenia, że tak — z dnia na dzień — zaniknęły w świecie uczucia synowskie!...

W każdym razie moda na antypatrjotyzm mija wyraźnie, kończy się nietylko na Zachodzie, lecz nawet w Moskwie. Tuła się jeszcze — tu i owdzie — po zapadłej prowincji, gdzie kina małomiasteczkowe wyświetlają, jako ostatnią nowość, stare filmy pacyfistyczne z przed lat kilku, a nauczycielka ludowa, która kiedyś w stolicy uczęszczała na odczyty Ligi Wolnej Myśli, gorszy obecnie rewolucyjnością swych poglądów miejscowego pisarza gminnego i organistę. Dla panny Racheli, prenumeratorki „Wiadomości literackich" — to już przestarzałe. Ona lubi ziołowy zapach dworu szlacheckiego. „Ona nawet chłopy lubi"...

I oto jesteśmy świadkami jak poniektóry literat przegląda się w lustrze, patrzy na łysinę swoją, okoloną rzadkiem, kręcącem się uwłosieniem, i woła radośnie: „Podgolona! Dalibóg, każdy przyzna, że wygląda jak podgolona!"... Stare chałaty przerabia się pośpiesznie na kontusze albo sukmany, do mycek przyczepia się czaple pióra. Wychodząc w odwiedziny, mówi się: „Idę do białogłowy"...

Jak zachować się wobec tych zjawisk, jak je — z polskiego stanowiska — ocenić? Wybitni krytycy, znani ze swoich patrjotycznych przekonań, pp. Neoficki i Mechesowicz z entuzjazmem powitają je jako sukurs w propagandzie narodowej, wskażą na uznania godne „pogłębienie się" pisarzy, „porzucających internacjonalne mrzonki", oświadczą, iż „teraz dopiero" stali się oni „rzeczywistymi przedstawicielami literatury polskiej", do której przedtem — „niestety, należeli tylko formalnie". Radca Półkrwicski (ważna figura w Ministerstwie Wyznań i Oświecenia Publicznego!) zalecać ich będzie do lektury szkolnej, bo młodzież naszą „trzeba wychowywać w duchu tradycji i umiłowania swojszczyzny"...

A tymczasem takich oddziałów posiłkowych bynajmniej dla obrony narodu nie potrzeba. Widać dzisiaj już — i z każdym dniem wyraźniej — że naród jest rzeczywistością tak trwałą, o tak dalekim zasięgu, iż nawet nacjonalistom nie śniło się, jak potężnie i niezawodnie potrafi objawiać się jego działanie. Niema celu za nim agitować, jak z drugiej strony nie wiele może zaszkodzić mu jaskrawa i hałaśliwa propaganda przeciwna. Mówiąc prawdę, bywaliśmy niejednokrotnie nazbyt nerwowi i propagandą ową zbyt się gorąco u nas częstokroć przejmowano i oburzano. Ostatecznie, cóż to szkodziło komu, gdy p. Wittlin wyznawał z całą szczerością, że nie lubi być tam, gdzie strzelają, gdy p. Słonimski, otwarcie również, zdawał sprawę ze swej wrodzonej niechęci do szabli i do żołnierki? Mogło to nas nawet zaciekawiać, pozwalając wniknąć w psychikę egzotyczną, dla Europejczyka niełatwą do zrozumienia, a tu objawiającą się w formie jakby poetyckiej spowiedzi.

Zapewne, nieco denerwujący bywał p. Tuwim, kiedy namawiał wojsko polskie do rzucenia karabinów, ale tylko denerwujący — nic więcej. Niebezpieczny nie był napewno ani trochę. Nie takich słucha argumentów naród, kiedy chwyta za broń w momencie wielkiej próby, i nie w tę stronę zwraca się w chwilach przełomowych po wskazówki.

Ale — z drugiej strony — im bardziej naród świadomy jest swej indywidualności, im dokładniej wie, czem jest i czem być pragnie, tem bardziej nie lubi, gdy ktoś zbyt bezceremonjalnie wtrąca się w jego sprawy, jakgdyby wchodził do cudzego mieszkania, przymierzał nieswoje garnitury. „Chcecie nas poinformować, że Polska jest piękna?... Nie potrzeba... Już wiemy, sami wiemy”...

Stąd konkluzja ostateczna: pacyfizm, międzynarodowość — owszem, temu nie sprzeciwiamy się, to nie przeszkadza... Ale pod lipą czarnoleską musi być czysto...

A „juści”! — jak powiada p. Józef Wittlin w jednej ze swoich recenzyj.

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

KOLEJKĄ NA KASPROWY WIERCH wprawiliśmy w podziw Europę. „Kurjer Poznański“ przytacza głosy ze świata o tej radosnej gospodarce w Polsce.

Dziennik szwajcarski „*Der Bund*“, wychodzący w Bernie, dziwi się, że Polska niszczy pierwotne piękno Tatr, które stanowi ich najważniejszą wartość z turystycznego, przyrodniczego i artystycznego punktu widzenia. Z tych samych powodów kolejka na Kasprowy Wierch zaczyna być teraz przedmiotem zgorszenia kół naukowych zagranicznych.

Uczeni, pracujący w Narodowem Muzeum Historji Naturalnej w Paryżu, powzięli w tej sprawie uchwałę. Stwierdzili, że „ochrona Polskiego Parku Narodowego w Tatrach jest zagrożona“ (przez kolejkę) i ubolewają, że może ona „unicestwić wysiłki, podjęte dotychczas dla zachowania jednego z ostatnich i najpiękniejszych w Europie pomników przyrody prawie zupełnie dziewiczej“. Polska — czytamy dalej w uchwale — była krajem, który jeden z pierwszych zrozumiał olbrzymie znaczenie Parków Narodowych i rezerwatów przyrody. Byłoby „szczególnie przykrem“, gdyby z tej drogi miała zejść.

Prawie równocześnie wydało opinję o spekulacji kolejkowej paryskie Tow. Biogeograficzne. Ogłoszona jego uchwała ma kilka punktów.

Tow. stwierdza, że międzynarodowe koła naukowe są zainteresowane Parkiem Narodowym w Tatrach, jako jednym z ostatnich i najpiękniejszych pomników przyrody, jakie istnieją w Europie. Tow. stwierdza, że Park ten jest przez kolejkę zagrożony i że wysiłki Polski, aby pomnik ten zachować, mają być przez kolejkę „skompromitowane i unicestwione“, co byłoby „szczególnie godne pożałowania“. Tow. wyraża życzenie, aby utrzymać w zupełności i jak najściślej wszystkie przepisy ochronne, wydane w celu zachowania Parku Tatrzańskiego w jego pierwotnej postaci.

Sprawa kolejki, jak widzimy, zainteresowała koła naukowe i kulturalne daleko poza Polską. Zaczyna ona przybierać—niestety—rozmiary skandalu międzynarodowego. Społeczeństwo polskie ma wszelkie prawa domagać się poważnych wyjaśnień w tej sprawie. W jaki sposób stać się to mogło, że deficytowe ministerjum komunikacji gwarantowało tę imprezę?

NAUKA i LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Ozdobą każdego księgozbioru staje się przepiękne wydawnictwo ilustrowane Jana Bułhaka p. t. „Wędrówki fotografa w słowie i w obrazie”.

„Wędrówki” wychodzą perjodycznie zeszytami objętości około dwu arkuszy tekstu i ilustracyj i tworzą album opisowe i obrazowe Ziemi Wileńskiej. Każdy zeszyt stanowi oddzielną całość pod osobnym tytułem, ale jednocześnie jest częścią składową większego cyklu, odtwarzającego piękno pejzażu w słowie i obrazach fotograficznych autora.

Dotychczas wyszły z druku: w serji pierwszej Krajobraz Wileński, Przez Ponary do Trok, Krajobraz widziany przez soczewkę. W serji drugiej (2 zeszyty) Jezioro Narocz.

Obecnie na nową, trzecią serję „wędrówek” p. Bułhak ogłasza przedpłatę. Składa się ona z 4-ch zeszytów: Człowiek twórcą krajobrazu, Ruszczycowskie dożynki, Pejzaż Wilna.

Cena trzeciej serji wynosi w przedpłacie wraz z przesyłką 8 zł. Przedpłatę należy kierować do autora J. Bułhaka, Wilno, ul. Orzeszkowej 3.

*

Dr. Józef Rafacz „Dzieje i ustrój Podhala Nowotarskiego za czasów dawnej Rzeczypospolitej Polskiej”. Warszawa, wyd. Kasy im. Mianowskiego, 1935 r.

Autor w przedmowie wspomina o trudzie lat, poświęconych tej pracy, opartej na literaturze historycznej i badaniach archiwalnych, dotyczących dawnego ustawodawstwa w związku z rozwojem tego górskiego zakątka Polski. Przeogromny z wielu wieków materjał rozplanował dr. Rafacz w porządku chronologicznym i przejrzystym układzie, zaopatrując swe studjum w skorowidz ważniejszych osób, miejsc, rzeczy i mapy orjentacyjne.

Już rzut oka na mapy z w. XV, początków XVII i schyłku XVIII wskazuje na stały przybytek ludności i osiedli mieszkalnych, narastających wokoło centralnego miasta tej ziemi, Nowego Targu. Prawne podstawy władania normowały możności i sposób zakładania osad, a to ze względu na etniczną przynależność mieszkańców i ich stosunek do Kościoła, a także stosunek zależności od właścicieli, gdy Nowotarszczyzna była kolejno własnością monarszą, Gryfitów i Cystersów, dalej zaś w epoce działalności na Podhalu różnych rodów i dostojników państwowych, charakteryzują też położenie materjalne włościan, rozwój miasta, sołectwa, wójtostwa, górnictwo w Tatrach, stosunki Podhala z sąsiadami i rolę Podhala w dziejach Polski.

Książka, typowo źródłowa, daje bezmiar szczegółów historycznych, ukazuje oblicze przeszłości i jest wprost klasycznym przykładem wieloletniej, naukowej pracy. Złożyły się na rezultat tej pracy nieprzeliczone wyimki ze starych aktów ustawodawczych i sądowych, rachunków królewskich i miejskich, ksiąg kanclerskich, kronik, kodeksów, wywodów urzędowych lustracyj i—w związku z przedmiotem—opracowań poprzednich historyków. Mimo tego nakładu erudycji książka nie robi ani na chwilę wrażenia suchej, martwej. Z kart „Dziejów i ustroju Podhala” wyzierają barwne obrazki czasu, sylwety typów i nastrojów „gromady”, z coraz zmiennym wyrazem przesuwających się wieków. (A. W.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Znany dobrze naszym czytelnikom głośny pisarz polityczny, J. Bainville, wydał świeżo książkę zatytułowaną „*Les Dictateurs*” („Dyktatorzy”), w której charakteryzuje najsłynniejsze dyktatury starożytności oraz naszych czasów, między innemi: Peryklesa, Marjusza, Sylli, Pompejusza, Kromwela, Ludwika XIV, Robespierre'a, Napoleona, Lenina, Stalina, Mussoliniego, Salazara, Hitlera, nie pomijając także licznych dyktatorów Meksyku i Ameryki południowej.

W książce mnóstwo trafnych uwag i zestawień, dotyczących współczesności. „Dyktatury dzisiejsze“,— zauważa Bainville—„pojawiły się nazajutrz po powiedzeniu prezydenta

Wilsona: „uczyńcie świat pewnym dla demokracji". Powtarzano wówczas wszędzie, iż zwycięstwo sojuszników było zwycięstwem zasady demokratycznej we wszelkich jej postaciach"... A oto niektóre konkluzje książki: „Jeżeli anarchja rodzi Cezarów dlatego, że ład jest potrzebą elementarną społeczeństw, to komunizm stwarza inny ich rodzaj, gdyż przeciwnie wszystko reguluje". Zdaniem Bainville'a dyktatury powstają z jakiegoś „zanadto" albo z „niedość". Skądkolwiek pochodzą, z prawa czy z lewa, częściej z lewa niż z prawa, mieszczą w sobie zawsze wiele nieznanego. (W. J.)

*

Nareszcie Francuzi zaczynają rozumieć „wielkiego pisarza ziemi rosyjskiej", Lwa Tołstoja, o którym przez kilkadziesiąt lat, od czasu napisania książki Melchiora de Voguë „*Le roman russe*", rozpowszechnili niemało fałszywych i płytkich sądów. Pierwszą książką, napisaną z prawdziwą znajomością przedmiotu, była wydana przed kilkoma laty praca I. Cassou p. t.: „*Grandeur et infamie de Tolstoi*", drugą jest właśnie świeżo wyszłe z druku studjum znanego poety i krytyka F. Porche, p. t. „*Portrait psychologique de Tolstoi*".

Autor podziwia bez zastrzeżeń genjusz twórczy Tołstoja, natomiast człowieka, moralistę i proroka ocenia wprawdzie z wielkim objektywizmem, nie zakrywa jednak sobie oczu na to, co było fałszywe w jego doktrynie i kabotyństwem w postępowaniu. Na dramat rodzinny Tołstoja, na stosunek twórcy „Sonaty Kreutzera" do żony, rzuca światło prawdziwe usprawiedliwiając raczej obojga małżonków, niż zwalając winę na jedną wyłącznie stronę. W książce Porche'a nie spotykamy się z zarzutem hypokryzji, tak często czynionym Tołstojowi: w sprzecznościach oraz rozmijaniu się jego życia z doktryną, narzucaną innym, autor skłonny jest widzieć fakt niezwykłego rozdwojenia osobowości. (W. J.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

MŁODZIEŻ NA WYSTAWACH

CORAZ częściej, podczas zwiedzania wystaw, w Zachęcie lub IPS-ie, spotykam tam wycieczki młodzieży szkolnej. Gromadki chłopców lub dziewcząt, pod przewodnictwem towarzyszącego im nauczyciela, przychodzą oglądać zgromadzone w salach dzieła sztuki. Dawniej tego nie było (a przynajmniej nie tak często), więc należy chyba cieszyć się z tej chęci rozwijania kultury plastycznej w młodzieży. Zasadniczo tak, ale... Najlepszy pomysł nie przyniesie plonu, gdy do urzeczywistnienia naszej idei zabierzemy się w sposób niewłaściwy. Nauczyciel oprowadzający takie wycieczki po wystawach poczuwa się do obowiązku udzielania młodzieży wyjaśnień, a niezawsze—co zresztą zrozumiałe—jest do tego powołany. Lepiej by już milczał, jeśli swemi uwagami wprowadza młodzież na błędne drogi. Ale dzieci mają rozmaite wątpliwości, niejednego chciałyby się dowiedzieć, więc, biedny pedagogu, musisz na pytania odpowiadać...

Zanim przejdziemy do wniosków, jak złu zaradzić, przytoczę kilka przykładów, które nam objaśnią najlepiej trudności i niebezpieczeństwa takiego oprowadzania. Spotkałem kiedyś gromadkę dzieci ze szkoły powszechnej, z nauczycielem, na wystawie Mehoffera w Zachęcie. Był tam, między innemi, cykl Stacyj Męki Pańskiej. Dzieci zainteresowała treść poszczególnych obrazów. To — zdawało się — nie powinno pedagogowi sprawić kłopotu, bo nie chodziło tu przecież o kwestje artystyczne. Niestety pedagog okazał się również nieuczony w Piśmie (Świętem), jak i w sztuce. Poza Piłatem, nikogo z postaci historycznych w tym cyklu nie umiał wskazać. Była to już nieoczekiwana, nadprogramowa niejako, kompromitacja.

W innym wypadku, na innej wystawie, zastałem nauczyciela, z gromadą chłopców i dziewcząt, przed dużym obrazem (Wasilkowskiego), który, zdaje się, z powodu wielkości przedewszystkiem zwrócił uwagę. Wyobrażał nagą kobietę, między dwiema postaciami. Jedna z nich, o szatańskich szponach, sypała monety, druga przygrywała na jakimś instrumencie. Przystanąłem, aby posłuchać, co też nauczyciel młodzieży o tym obrazie opowie.

„Widzicie"—powiada—„to nie takie proste, to jest jakaś ideja artysty, jakaś jego chimera, te postacie obok kobiety to napewno jakieś symbole"...

Miałem w ręku katalog, ale nie kwapiłem się z podaniem tytułu, gdyż w katalogu „stało" wyraźnie, że obraz nazywa się „Żądze". Po chwili jednak, widząc, że mam katalog, nauczyciel powiedział: „Przepraszam pana, może pan będzie łaskaw"... Milcząc, pokazałem mu tytuł. „Ooo"... szepnął pedagog, wyraźnie stropiony. Ale już było zapóźno, dzieci dopominały się: „Co tam napisane, proszę pana?" Nieszczęsny pedagog wziął na odwagę i rąbnął: „Żądze".

Na tej samej wystawie znajdował się również wielki obraz Piątkowskiego, wyobrażający męża, który przyłapał żonę z kochankiem w hotelu. Jakaś młoda panienka (także z wycieczki szkolnej) podchodzi do mnie z prośbą: „proszę pana, jak to się nazywa?" „Nazywa się: „W hotelu" i proszę mnie o nic więcej nie pytać"!

Te kilka przykładów wskazuje chyba wyraźnie na błędy w dotychczasowym systemie oprowadzania wycieczek szkolnych po wystawach. W pierwszym z rozpatrzonych wypadków, poczęstowano młodzież odpowiednią strawą artystyczną (Mehoffer), tylko przewodnik był nieodpowiedni; w drugim wypadku już sama wystawa, wogóle, mogła budzić zastrzeżenia. Nie można bowiem kształcić młodzieży na przykładach złej sztuki, należy pokazywać tylko rzeczy najlepsze, nie wszystkie wystawy, z racji swego poziomu, zasługują na zwiedzenie. Wystawa ze wspomnianemi dziełami: „Żądze", „W hotelu" i t. p. pożytku żadnego młodzieży nie przyniosła, a oprowadzającego pedagoga nieraz postawiła w kłopotliwą sytuację. Nie jestem świętoszkiem i nie lubię przed dziećmi wyłgiwać się bocianem, ale uważam, iż nie trzeba młodzieży pchać przed oczy rzeczy, o których jej potem nie chce się, czy nie uważa za stosowne mówić dokładniej.

Dbamy o dostarczenie młodzieży, odpowiedniej dla jego wieku, lektury, istnieje również cenzura filmów, która je dzieli na dozwolone, polecone i zabronione. Może ta cenzura popełniać błędy i popełnia je nieraz, ale potrzeby jej istnienia nikt nie kwestjonuje — jest ona aż nadto usprawiedliwiona. Tylko wystaw sztuki wcale się nie rozpatruje z tego punktu widzenia, w tej dziedzinie niema żadnego planu i panuje kompletny chaos. Decyzja, czy młodzież powinna zwiedzić daną wystawę, czy nie, jest zbyt często kwestją przypadku i można tu liczyć tylko na szczęśliwe rozstrzygnięcia indywidualne. Niedawno w IPS-ie wystawiał pewien młody artysta rysunki, wyobrażające dziewczęta uliczne i—jak je nazwał—damy z półświatka, rysunki bardzo dosadne. Ciekaw jestem, czy i na tej wystawie były wycieczki szkolne i jak np. nauczycielka zwoływała swe pisklęta na widok niebezpieczeństwa: „Dzieci, dzieci nie idźcie tam, nie oglądajcie tego, to nie dla was"...

Wyobrażam sobie jak bardzo takie *dictum* zaostrzało apetyt młodocianych widzów.

Wniosek: ponieważ instytucje wystawowe układają swój program na pewien czas, zgóry przewidziany, dyrekcje poszczególnych szkół powinny się zawczasu poinformować, jakie z projektowanych wystaw będą odpowiednie dla młodzieży. Albo instytucje wystawowe, jeśli dobrze rozumieją swoją misję propagandy sztuki, niech same wystąpią z inicjatywą i roześlą zawiadomienia do szkół o najbliższych, zasługujących na zwiedzenie wystawach. Pozwoli to nauczycielom, którzy poprowadzą wycieczki, zawczasu się przygotować.

Co do przewodników—nauczycieli, to niektóre szkoły są w tem szczęśliwem położeniu, iż wykładają w nich rysunków artyści, wychowankowie warszawskiej Akademji Sztuk Pięknych. W tym wypadku kwestja jest rozwiązana. Ale zbyt często jeszcze (jak to opisałem) spotyka się wycieczki szkolne na wystawach, z przewodnikami niewykwalifikowanymi, którzy tylko bałamucą młodzież i— co tu gadać—nieraz plotą jej poprostu androny („o, widzicie dzieci, to jest współczesne malarstwo, same plamy, nic, tylko plamy"...). Instytucje wystawowe mogłyby mieć wśród swego personelu stałego przewodnika, któryby w takich wypadkach służył wycieczkom pomocą. Oczywiście taki pan nie może stale siedzieć na miejscu, w oczekiwaniu, a nuż zdarzy się jakaś wycieczka; to by zadrogo kosztowało i na to dziś IPS, ani Zachęta funduszów nie posiada. Gdyby jednak szkoły wczas zawiadamiały dyrekcje instytucyj wystawowych o zamierzonych wycieczkach, te zawczasu mogłyby zawiadomić zaangażowanego w tym celu, odpowiednio przygotowanego przewodnika. Ludzi do tej roboty nie powinno chyba zbraknąć, dość jest młodych, rozumnych i wykształconych artystów, którzy podobne zadania mogą spełniać. Jest to także wdzięczne pole do pracy dla młodych historyków sztuki.

Jeśli IPS, lub Zaczęta mają w tem materjalne trudności, trzeba, żeby Ministerstwo Oświaty i Wydział Kultury Magistratu w urzeczywistnianiu tych godziwych zamierzeń pomogły. Pan prezydent Starzyński, który tak się zainteresował wychowaniem estetycznem mieszkańców stolicy, nie ominie — miejmy nadzieję — obojętnie i tej sprawy.

WIKTOR PODOSKI

MUZYKA

NAGRODĘ MUZYCZNĄ M. ST. WARSZAWY na posiedzeniu w dniu 31 października b. r. przyznał Sąd konkursowy w składzie: Jan Pohoski — przewodniczący, Zofja Berbecka, Tadeusz Czerniawski, Eugenjusz Morawski, Stefan Lidzki-Śledziński, Karol Stromenger oraz Adam Wieniawski Karolowi Szymanowskiemu za

„...działalność kompozytorską, bezkompromisową, artystyczną i utrzymaną na najwyższym poziomie współczesnej sztuki muzycznej, pracę wielostronną i w każdym dziale kompozycji świetną, uwieńczoną długim pocztem wspaniałych dzieł, których pierwsze wykonanie w znacznej części było przywilejem Warszawy. Dzieła te zdobią programy muzyczne i repertuary całego świata. Imię Jego zdobyło miejsce w pierwszym rzędzie najdzielniejszych poszukiwaczy nowego stylu muzycznego. Twórczość Karola Szymanowskiego ma znaczenie odnowy dla muzyki polskiej, ma ożywczy wpływ na szereg naszych młodych kompozytorów".

Słowa powyższe niezwykle treściwie i trafnie charakteryzują znaczenie wielkiego artysty. Bezkompromisowość, odwaga poszukiwań, w całem tego znaczeniu wspaniała twórczość, a co za tem idzie odnalezienie nowych dróg muzyki polskiej, owego „ożywczego wpływu na szereg naszych młodych kompozytorów", jak zaznacza orzeczenie Sądu Konkursowego, oto legitymacja, uprawniająca nietylko do uznania ogromnego talentu, ale i zasługi. Zasługa to tem większa, że Szymanowski, wytyczając nieznane przedtem ścieżki, zerwał zdecydowanie z blademi reminiscencjami romantycznemi, błąkającemi się w przyzwyczajeniach i nawykach sztuki polskiej oraz swą postawą wyprowadził muzykę naszą z błędnego koła zachłystywań się twórczością niemiecką, czy to w postaci bezustannego przeżywanie stylu wagnerowskiego, czy (co najgorsze) ulegania wpływowi Gustawa Mahlera, w którym brzydota współczesnych mu Niemiec dziwnie harmonizowała z sentymentalno-retoryczną naturą żydowską, czy wreszcie w trzymaniu się uporczywie autorytetu nienajlepszej jakości kanonów estetycznych.

Atmosfera tymoszowieckiego dworu, wrodzona kultura, talent, odwaga i wiedza - wszystko to złożyło się na pozycję, jaką wielki artysta posiada nietko w muzyce polskiej, ale w całej twórczości współczesnej. I jeśli młodzi nasi kompozytorzy nie błąkają się obecnie po teoretycznych rozważaniach czy nijakich koncepcjach, ale wytworzyli własny, odrębny styl, to *magna pars* tego mieści się w nazwisku Szymanowskiego. Dzisiaj nie mamy potrzeby sięgać do wzorów obcych, szukać po świecie motywów i natchnień — polska muzyka dnia dzisiejszego ma swój odrębny wyraz, mocny i ciekawy.

Karol Szymanowski urodził się w rodzinnej Tymoszówce na Ukrainie 21 września roku 1883. W latach 1899 — 1900 powstały jego pierwsze preludja, poczem przyjechał do Warszawy po naukę kompozycji. Studjował początkowo u Marka Zawirskiego, potem u Zygmunta Noskowskiego. W owym czasie powstają jego pierwsze pieśni, z których „Święty Boże" do słów Kasprowicza posiada siłę wyrazu ogromną. Tworzy następnie warjacje *b-moll*, sonatę *c-moll* na fortepian oraz *d-moll* na fortepian i skrzypce, poczem warjacje *h-moll*.

W latach następnych niebardzo jeszcze dojrzała „Uwertura koncertowa" *e-dur*, cykle pieśni, symfonja *b-dur*, druga sonata fortepianowa, wreszcie w r. 1912-ym pierwsze dzieło operowe „*Hagith*".

W czasie wojny ukazują się niezrównane „Mity", „Metopy" i „Maski", koncert skrzypcowy, kwartet skrzypcowy, pełne ekspresji „Pieśni Muezzina Szalonego" oraz niezwykle mocna trzecia symfonja.

Poczęta w zetknięciu się z ziemią sycylijską, rodzi się wielka opera „Król Roger". W latach powojennych następuje nagły zwrot i jesteśmy u początków nowego stylu polskiego. Powstają „Słopiewnie" i oparte na prymitywie Podhala „Mazurki", poczem „Rymy dziecięce" do słów Kazimiery Iłłakowiczówny, *Stabat Mater* op. 53, trzy kołysanki, drugi koncert skrzypcowy, żywiołowe „Harnasie" oraz wspaniała czwarta symfonja.

Na warsztacie dalszy ciąg mazurków i „Litanja".

Powtórzmy jeszcze raz słowa Sądu konkursowego: „Imię Jego zdobyło miejsce w pierwszym rzędzie najdzielniejszych poszukiwaczy nowego stylu muzycznego. Twórczość Karola Szymanowskiego ma znaczenie odnowy dla muzyki polskiej"...

FILHARMONJA. — Druga symfonja *h-moll* Borodina i koncert fortepianowy *b-moll* Czajkowskiego wprowadziły w nas w epokę rosyjskiej muzyki romantycznej. Słuchając jej, nie można było oprzeć się wrażeniu, iż mimo różnic indywidualnych, siły talentu twórczego, ma się do czynienia z utworami ogromnie sobie bliskiemi, pokrewnemi. Nic dziwnego — łączy je przecież więź czasu oraz wspólnota instynktów. I jakże dziwny wydaje się nam oficjalny sąd kryty-

ki, co to między tych dwóch kompozytorów kładzie zdecydowaną przegrodę. Czajkowski—twierdzi—to nosiciel kosmopolitycznego ducha, obcego rosyjskości, bliższy raczej Rubinsteinowi (!), aniżeli np. twórcom programo-narodowej sztuki z wielkim Rimskim-Korsakowem na czele, tym, z którego grona przyjaciół wyszedł autor „Kniazia Igora". A jednak, czy z dwóch doskonale wykonanych w piątek dzieł muzycznych właśnie ów „indywidualista" i „kosmopolita", nie przedstawił się mocniej, bardziej rosyjsko? Koncert fortepianowy *b-moll* w ostatniej swej części wpada w tak wyraźnie rasowy rytm, tak żywiołowy i bezpośredni! Coprawda solista ostatniego koncertu, Włodzimierz Horowitz, usiłujący uchodzić za Rosjanina, nie wyczuł istoty wykonywanego utworu. O ile w pierwszej części mocnem uderzeniem wprowadził wszystkich w skalę talentu wielkiego kompozytora, to znowuż *pointe*, ową część trzecią zinterpretował fałszywie, czyniąc z niej jakąś subtelną etiudę.

Dyrygent Emil Cooper dostosował się oczywiście do sposobu gry solisty. Cooper, jak zawsze, z prawdziwie mistrzowskim umiarem, oraz wielkim szacunkiem dla prowadzonego utworu i jego twórcy, odtworzył na początku wieczoru *Passacaglia* Bacha w interpretacji Goedickego, poczem Borodina i Czajkowskiego, poczem Francka i Ravela.

Głęboka, dobra sztuka Cezarego Francka, powstała w skupieniu ciszy twórczej, ocaliła kiedyś narodowy charakter muzyki francuskiej, zagrożonej inwazją żydowskiego blichtru, zrodzonego w jakimś materjalistycznym baroku pęczniejącego w świecie pieniądza. W wielkiej operze panował wszechwładnie Meyerbeer i gniótł wszystkich naokół swoim ciężarem. Jakże znamienny jest głos jednego z uczniów świetnego organisty kościoła *St-Clothilde*, Wincentego d'Indy: „Przez ostatnie stulecie rozwijała się muzyka francuska prawie wyłącznie w dziedzinie teatru: Lully, Rameau, Destouches, Monsigny, Gietry, Mehul i Gluck, którego genjusz znalazł swój najpełniejszy wyraz w dziełach o stylu na wskroś francuskim, wydali cały szereg świetnych dramatów muzycznych i twórczością swą zdołali zwycięsko przeciwstawić się zaborczym tendencjom zdegenerowanej muzyki włoskiej, która w owym czasie wszechwładnie panowała na wszystkich scenach europejskich. Dopiero w początku XIX stulecia załamała się pod naporem Rossiniego świetna linja naszej muzyki narodowej. Nasza twórczość operowa, zniżając stopniowo swój poziom i oddalając się od swych podstaw rasowych, stoczyła się do banalności i jałowości żydowskiej muzyki Halevy'ego, Meyerbeera, Aubera, Adama i in. Od ich „oper", obliczonych na doraźne powodzenie pieniężne, musiała nasza muzyka operowa stoczyć się jeszcze niżej — do niezdrowej, jałowej operetki".

Po latach przyszedł Debussy jako przejaw reakcji na Francka. Ale było to już starcie Francuza z Francuzem. To wolno, to potrzebne, konieczne.

Koncert zakończył poemat Ravela *„Daphnis et Chloe"*.

W. NARUSZ

FILM

BAŁTYK: „Anna Karenina" reż. Clarence Brown, film amerykański.

Właściwie Greta Garbo, największa współczesna aktorka filmowa, nie miała szczęścia do reżyserów. Filmy z nią tyle są warte, że ona w nich gra, ale same przez się nie stanowią żadnej rewelacji. Oczywiście wielkiej artystce wytwórnia nie mogła dać bylejakiego tła, więc partner, reszta obsady, reżyserja, scenarjusze — wszystko to bywało zazwyczaj w najlepszym (i drogim) gatunku.

Miło jest nam stwierdzić, że ostatni film z Garbo, w którym artystka wznosi się na wyżyny kunsztu aktorskiego, posiada również spore zalety, już wyłącznie filmowe, a także momenty o wymowie plastycznej godnie współtowarzyszące grze artystki. Ta druga wersja, dźwiękowa, raz już opracowanej filmowo przez tego samego reżysera powieści, posługuje się — rzecz charakterystyczna — w paru najsilniejszych fragmentach środkami, przy których słowo staje się zbędne (np. wyścigi i zakończenie). Świadczy to jeszcze raz o tem, że podstawą filmu musi pozostać obraz.

Narastania dramatu Kareniny nie nakreślono tu, krok za krokiem, na podobieństwo rysunku psychologicznego w powieści, tem nie mniej są sceny, świadczące prawdziwie o przeżyciach bohaterki, a zrobione w sposób właściwy filmowi. Do tych należy scena, gdy w alei ogrodu woła ją dwugłos syna i kochanka i oba te głosy z dwu stron się rozlegają i w dwie różne strony ciągną Kareninę. Fragmenty, w których djalog przeważa, poprzeplatano innemi, o szerszym oddechu kompozycyjnym, obfitszej treści wizualnej i silniejszej dynamice plastycznego obrazu. Wymienimy z nich wspomniane już wyścigi, bal, przedstawienie w operze. Całość tak skomponowano, że w zakończenia znowu wplata się wątek początku. Na początku Karenina jest świadkiem na dworcu śmierci kolejarza, który zginął pod kołami lokomotywy, a na końcu sama ginie podobną śmiercią. Zakończenie to ma również wiele wyrazu i pod względem dźwiękowym i każdy dźwięk w niem (stukot młotka o osie kół, turkot pociągu) pociąga i zbliża bohaterkę ku śmierci.

Greta Garbo nie należy do moich ulubionych aktorek, jednak wyszedłem z kina całkowicie urzeczony jej grą. W promieniu tej gry, stworzona przez nią prawda artystyczna staje się jedyną i niepodzielną rzeczywistością.

Fotografja bardzo staranna i nierzadko — piękna.

KANDYD

ZMARLI

Ś. p. STANISŁAW STARZYŃSKI

WDNIU 17 listopada r. b. zmarł we Lwowie znakomity prawnik, profesor prawa politycznego uniwersytetu lwowskiego, dr. Stanisław Starzyński. W uznaniu jego zasług naukowych Akademja Umiejętności mianowała go swym członkiem. Uniwersytet im. Batorego w Wilnie — doktorem honorowym.

Urodzony w 1853 r. w pow. złoczowskim, gimnazjum ukończył we Lwowie. Tutaj też, we Lwowie, wydział prawny. Doktorat złożył w r. 1879. W r. 1881 habilitował się, a w 1883 rozpoczął wykłady na uniw. lwowskim. W latach 1884—1888 był posłem do Rady Państwa w Wiedniu. Ponownie stawał do wyborów w r. 1901 i odtąd piastuje mandat do Rady Państwa aż do r. 1911. W r. 1917 został mianowany dożywotnim członkiem wiedeńskiej Izby Panów Jednocześnie posłował do Sejmu Krajowego, trzykrotnie wybierany.

W r. 1917 wezwany został ś. p. Starzyński do Tymczasowej Rady Stanu w Warszawie, gdzie opracowuje projekt konstytucji i ordynacji wyborczej przyszłego Państwa Polskiego. W roku 1918 i 1919 jest członkiem Tymczasowej Komisji Likwidacyjnej w Krakowie. W marcu 1919 r. na zaproszenie Ignacego Paderewskiego bierze udział w Ankiecie Konstytucyjnej, a jesienią tego roku w konferencji rzeczoznawców w sprawach gdańskich. W r. 1925 wezwany jest jako rzeczoznawca w sprawie ustaw o pełnomocnictwach, a następnie ordynacji wyborczej. W r. 1926 zostaje powołany do Rady Prawniczej. W r. 1928 opracowuje samoistny projekt Konstytucji Polskiej.

Z ważniejszych prac naukowych ś. p. Starzyńskiego wymienić należy: „Uwagi o prawnej stronie równouprawnienia narodowości", „Sprawa języka państwowego w Austrji", „Konstytucja 3-go Maja na tle współczesnego ustroju innych państw europejskich", „Studja z zakresu prawa wyborczego", „Konstytucja Państwa Polskiego", „Powojenny ustrój państw europejskich", „Rozważania konstytucyjne" itd.

Była to postać dostojnego obywatela, oddanego sprawie narodowej i mającego odwagę bronienia interesów narodu. Dawał tego dowody do końca życia, wygłaszając publicznie opinję o eksperymentach konstytucyjnych doby ostatniej.

Ceniony powszechnie za swoją prawość, popularny wśród młodzieży, opromienioną miał starość uznaniem ogółu i własnem poczuciem, że godnie żywota dopełnił.

Cześć jego pamięci!

POKŁOSIE

CENA ŻYCIA LUDZKIEGO

PRZED trzydziestu kilku laty, nie pamiętam już z jakiego powodu, odbywały się we wszystkich większych miastach niemieckich tłumne demonstracje, kierowane przez stronnictwo socjalistyczne. Podczas jednej z nich, we Wrocławiu policja przy rozpraszaniu tłumu użyła broni i jeden z policjantów cięciem szabli odrąbał pewnemu robotnikowi dłoń. Rzecz jasna, iż socjaliści wyzyskali ten wypadek i ta odcięta dłoń robotnika tygodniami nie schodziła ze szpalt pism partyjnych. Ale, mieszkając wtedy w Niemczech, mogłem stwierdzić, że nawet niezależnie od agitacji socjalistycznej, wypadek ten, to brutalne cięcie szabli policyjnej poruszyło bardzo głęboko opinję publiczną.

Jeżeli porównamy teraz ten stosunkowo drobny wypadek i wywołaną przezeń reakcję w opinji z faktem, iż opinja ta przyjęła bez żadnego odruchu masową masakrę z dnia 30 czerwca ub. r., dokonaną przez rządzącą partję na przeciwnikach politycznych, kiedy na rozkaz najwyższych urzędników państwa stracono bez sądu i dochodzeń dziesiątki ludzi — to będziemy mogli należycie ocenić, jak dalece w ciągu tych lat trzydziestu spadło w cenie życie ludzkie.

Znajduje to swój wyraz nietylko w takiem lub innem postępowaniu jednostek, co mogłoby być zawsze na karb charakteru tych jednostek policzone, lecz otrzymało niejako sankcję prawną w zmienionych odpowiednio przepisach o używaniu broni przez t. zw. organy bezpieczeństwa.

Pamiętamy tragiczny wypadek na Starem Mieście przed kilku miesiącami, kiedy błaha bójka, czy awantura uliczna zakończyła się śmiercią człowieka, o którym nawet nie wiadomo, w jakim stopniu w awanturze uczestniczył. Policjant gonił uciekającego, wezwał go do zatrzymania się, a gdy ten nie usłuchał, strzelił i położył go trupem. Było to podobno zgodne z przepisami, ale właśnie o to idzie, że przepisy te rozszerzają bardzo znacznie zakres stosowania kary śmierci, grożąc nią już nie za zbrodnie i przestępstwa, lecz nawet za przekroczenia. Ktoś ucieka przed policją; może istotnie coś przeskrobał, a może i nie, bo przecież wiele może być przyczyn, dla których można chcieć uniknąć zaprowadzenia do komisarjatu, nawet wtedy, gdy się nie poczuwa do żadnej winy. Można się obawiać niezbyt miłego tam traktowania, może figurowanie w protokule policyjnym zepsuć komuś opinję, narazić na utratę zajęcia i t. d. Może zresztą uciekający coś ma rzeczywiście na sumieniu, ale przecież, o ile to nie jest zbrodniarz, którego natychmiastowego unieszkodliwienia wymaga bezpieczeństwo publiczne, to strzał do uciekającego, niosący zawsze ryzyko śmierci, nie powinien być dopuszczany. Zbyt wielka to kara za nieposłuszeństwo, nawet wtedy, gdyby się skończyła tylko kalectwem. Przecież nawet w wojsku za odmówienie spełnienia rozkazu niema natychmiastowej kary śmierci, chyba w czasie wojny i to w obliczu nieprzyjaciela.

Skończył się proces o zajścia podczas wyborów do sejmu w powiecie skierniewickim. I tam była jedna śmiertelna ofiara. Jeden z rewidowanych wyrwał się i chciał uciec. Policjant po przepisowych ostrzeżeniach strzelił i ugodził go śmiertelnie. Sędzia na przewodzie zapytał policjanta, czemu strzelał, czy nie mógł pogonić za uciekającym. Policjant odpowiedział, że to było niemożliwe i na tem się skończyło... A przecież to też nie był niebezpieczny zbrodniarz, którego należało zatrzymać za wszelką cenę, i działo się to na wsi, gdzie ludzie wszyscy się znają i uciekający mógłby z łatwością być odszukany i aresztowany.

Za tak groźnem obostrzeniem przepisów o użyciu broni wysuwa się oczywiście ten argument, że bez tego należyte utrzymanie porządku publicznego nie jest możliwe. Przypomnijmy sobie jednak, że do ostatnich czasów policja w większości państw nie była normalnie nawet zaopatrzona w broń palną, a otrzymywała ją tylko w wypadkach szczególnych, przy nocnych np. obchodach wielkomiejskich dzielnic, specjalnie niebezpiecznych. Policjant londyński dotychczas w czasie służby dziennej nie ma rewolweru, a przecież Londyn nie jest zamieszkiwany wyłącznie przez baranki i mimo to nie słychać, żeby tam porządek publiczny stał bardzo nisko.

Winne jest tu niewątpliwie zmilitaryzowanie nastroju władz, wynikłe z wielkiej wojny. Roman Dmowski ogłosił niedawno interesującą rozmowę, jaką miał ze słynnym prefektem policji paryskiej Lepinem. Otóż ten specjalista od gnębienia zbrodni i od obchodzenia się z tłumem wielkomiejskim oświadczył, że najgorszym elementem rekrutacyjnym dla policji są wysłużeni wojskowi, a to z powodu swego nastawienia psychicznego. Wojskowy z natury rzeczy traktuje np. demonstrantów jako wroga, którego trzeba zniszczyć, policjant natomiast musi mieć zupełnie inny stosunek do ulicy. Jeden z obrońców w procesie, o którym wspominałem wyżej, zauważył również, że policja, przybyła na miejsce zajść, nie dojrzała w tych ludziach obywateli, z którymi można rozmawiać, lecz rebeljantów i wystąpiła odrazu agresywnie, nie próbując nawet porozumienia.

Przed paru dniami czytaliśmy, że minister spraw wewnętrznych witał specjalnie grupę oficerów, przechodzących z armji do służby policyjnej. Nie ulega wątpliwości, że oficerowie ci mogą wnieść ze sobą cenne przymioty do swej nowej służby, ale muszą się również poważnie zastanowić nad różnicą obowiązków i taktyki, jaka powinna nimi teraz kierować.

ARGUS

NA MARGINESIE

Z dziennika prezesa Akademji Literatury:

„Miarą kultury literackiej społeczeństwa jest ilość zużywanego papieru. Pokażcie mi swoje „sławojki", a będę wiedział, kogo nagrodzić wawrzynem".

„Kolejka linowa! — oto hasło naszego wieku demokratycznego. Kordjan, że zdobył szczyt Mont Blanc'u, był osobliwością. Zróbmy kolejkę, a wnet — tysiące Kordjanów".

*

Opowiadają o czyjejś głupocie, że jest tak wielka, iż trzeba kolejkę linową budować, aby zdobyć szczyt tej głupoty.

*

Po Warszawie krąży opowieść o dobrem sercu b. premjera:

Przechadzając się w Łazienkach, spostrzegł biedaka, siedzącego na trawniku i jedzącego trawę.

— Człowieku, co czynisz?

— Zredukowany jestem, berobotny i głodny.

— To okropne! Może uda mi się pomóc panu... Mów pan, czyś był w legjonach?

— Nie.

— A może w POW?

— Nie.

— Może w Strzelcu jesteś?

— Nie.

— O nieszczęsny! Cóż ja panu pomóc mogę!

Po chwili milczenia:

— Ale patrz pan, tam dalej jest trawa znacznie świeższa...

*

Sanacyjny „Kurjer Wileński" (nr. 314) podaje telegram z Warszawy pod wielkim tytułem: „Nowa doniosła ulga dla urzędników". Telegram zaczyna się od słów: „1 grudnia, jak wiadomo, wchodzi w życie podatek od pensyj urzędników"...

Taki już nałóg fabrykowania legend.

*

Największy obecnie po „Kurjerze Warszawskim" organ ogłoszeniowy, „Wiadomości Literackie" reklamują w ostatnim numerze syjonistyczny „Nasz Przegląd".

Wszystko w porządku. „Wiadomości" wkroczyły w swoją, zupełnie już swoją klijentelę.

ERRATA: W Nr. 45 „Myśli Narodowej", str. 686, w przypisku wydrukowano mylnie, że *Banque de Paris et de Pays-Bas* finansuje „całą akcję włoską w Paryżu". Powinno być: „całą akcję antywłoską".

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.